cena 1 zł

WYMIARY 1

miesięcznik społeczno-literacki

kwiecień 1938

PISMO

Mieczysław Braun

W starożytnej Asyrii na tablicach z gliny
Spisywali bieg wieków, ryjąc rylcem kliny,

Poczem glinę do pieców kładli jak garncarze,
Aby żar ją wyprażył i zwieczniała w żarze.

Rzymianie styl stalowy tłocząc w równych zgłoskach,
Twarde prawa na miękkich zapisali woskach.

Średniowieczni pisarze farbą w gęsim piórze
Pisali hymny wzniosłe na bydlęcej skórze.

Dziś piszą pióra wieczne, atramentem strute,
Albo topią z ołowiu sto słów na minutę.

Gdzież pismo asyryjskie? — czytanka uczonych!
Rozłupane skorupy jak z garnców stłuczonych. . .

Wosk rzymskich pszczół się stopił, starły się nowiny,
Zblakły inkaust pokrywa zwiędłe pergaminy.

Książki, dzisiaj pisane, raczej pośród zgliszczy
Znajdą wnuki, niżeli bieg czasu je zniszczy.

Co biedne pióro może? czy z czasem się zmierzy?
Gdzie pisarz? gdzie czytelnik? na jakiej rubieży?

Tyleż pisanie próżne, co na wodzie rysa,
Co słowa, które palcem Ktoś na piasku pisał.

ŚWIAT POETYCKI GABRIELA D'ANNUNZIO

Krzysztof Wencel

„Kącik natury, widziany przez pryzmat temperamentu artysty" — oto określenie dzieła sztuki, które dał Emile Zola, twórca najwyższych osiągnięć naturalizmu francuskiego, stając w obronie malarza Maneta. Określenie to można by mutatis mutandis zastosować do twórczości poetyckiej Gabriela D'Annunzio, gdyby bujna natura poety nie rozsadzała ram wszelkiego rodzaju określeń.

Z realizmu i naturalizmu francuskiego, z weryzmu włoskiego czerpał D'Annunzio swe pierwsze natchnienia („Le Novelle della Pescara"), jednak nader silnie zarysowana indywidualność pomogła mu do przezwyciężenia światopoglądu naturalistycznego, do szukania i odnalezienia nowych, własnych dróg. Z czasów tych pierwszych jego zainteresowań i kontaktów z naturalizmem pozostał mu niezmiernie żywy i czynny stosunek do rzeczywistości, który jednak poeta — idąc za głosem nakazu z wewnątrz — przekształcił w sposób swoisty.

Gabriele D'Annunzio, oglądany z perspektywy wstecz — na tle swej epoki występuje jako prawdziwy „bohater swoich czasów", jako jednostka, w której skupiają się najbardziej charakterystyczne, najbardziej wartościowe i ważkie prądy ówczesne. Niesłychanie wrażliwa natura jego musiała, niby niezmiernie czuły seismograf, schwycić i zanotować psychiczne wstrząsy Europy, jakimi było każdorazowe pojawienie się wybitnej indywidualności na jej terenie. Wpływy Flauberta i Maupassanta, Dostojewskiego i Tołstoja, Hebbla i Nietschego — oto między innymi składowe elementy jego twórczości. Nie jest jednak D'Annunzio w żadnym wypadku pasywnym eklektykiem, wchłaniającym tylko prądy swoich czasów. Elementarna siła jego indywidualności sprawia, że poeta przyswaja z nich sobie, asymiluje to, co odpowiada jego osobowości, by potem czerpać stąd tworzywo dla swoich wizyj poetyckich. To, co przychodzi z zewnątrz, służy jedynie do zbogacania świata wewnętrznego, a stopień asymilacji nowych zjawisk stoi w stosunku prostym do harmonii ich z indywidualnością poety. Na przykład nietscheańska teoria nadczłowieka, która tak wielką rolę odgrywa w twórczości poetyckiej D'Annunzia, została przezeń przyjęta tak szybko i dotarła tak głęboko, ponieważ odpowiadała wewnętrznej potrzebie poety.



Gabriele D'Annunzio

Czas rozwoju twórczości D'Annunzia to czas hasła „sztuki dla sztuki", czas rozkwitu estetyki i estetyzowania. Postawa D'Annunzia — estety wywołała zarzut pozy. A jednak u D'Annunzia estetyzowanie nie jest pozą, lecz potrzebą wewnętrzną, nie jest czymś narzuconym, ale głęboko wewnętrznym, spontanicznie wypływającym z duszy. Można by zaryzykować twierdzenie, że jest poeta życiową inkarnacją wildowskiego Doriana Greya czy huysmansowskiego Des Esseintes'a. Zwłaszcza, że poza przerafinowaniem estetycznym poeta dąży do tego, by i życie jego było dziełem sztuki, czymś jedynym, jakimś „vivere inimitabile". W „Faville del maglio" mówi poeta: „Całe moje życie jest miłośnie splecione z moją sztuką, jak to było i jest widoczne w moich tajnych rozmyślaniach i jawnym czynie". W dobie pokoju dba D'Annunzio o to, by życie jego stało się wykładnikiem jego przerafinowanych estetycznych upodobań, w dobie wojny sięga po czyn. Wolny od wahań i konfliktów właściwych intelektualistom, znajduje w czynie bohaterskim ujście dla nadmiaru sił żywotnych. Dla zmysłowej natury D'Annunzia, znajdującej zawsze wykładnik w formie ucieleśnionej, nawet uczucie tak idealistyczne, jak miłość ojczyzny, przybiera formę stosunku do istoty żywej, podobnego w swych przejawach do uwielbienia zmysłowego mężczyzny dla ukochanej kobiety. Przysięga poety na wierność ojczyzny brzmi: „fedele all Italia b e l l a sino alla morte, oltre la morte".

Jeżeli jest jakieś słowo, mogące ująć symbolicznie psychikę poety, to tym słowem będzie — nadmiar. Nadmiar sił żywotnych, niepohamowana, nieokiełznana wyobraźnia, wyjątkowa wrażliwość artystyczna, niezwykłe — czasem anormalne — wyczulenie zmysłów i ostrość reakcji i, co za tym idzie, niewyczerpana fantazja w tworzeniu obrazów. Spontaniczne dążenie do pełni życia prowadzi D'Annunzia do przekroczenia tej pełni, do przekształcenia rzeczywistości w sensie nadwartościowania. Poczucie nadmiaru, wynikające zresztą między innymi z utożsamiania się z przyrodą, odnajdujemy już w listach młodzieńczych poety. „Gdybym był drzewem, kto wie, jaki przepych, jakie bogactwo pędów, kiełków, pąków wytrysnęło by z pnia mego". W słowach tych znajdujemy zawiązek postawy poety w latach dojrzałości artystycznej, niby pierwszy motyw melodii, która olśni nas w poezjach zbioru „Alcione" swym symfonicznym bogactwem.

Jest w poecie doskonała odpowiedniość między objawianiem mu się świata a tym, co D'Annunzio przynosi światu w darze: swoim pogotowiem poetyckim. „Cały ten olśniewający przepych świateł i barw, przedmiot waszego podziwu, wydobywam z wewnątrz siebie siłą niesłychanego napięcia i nigdy nie jestem zaspokojony". Słowa te świadczą o prawdziwym przeżyciu wizji poetyckiej, jako przeciwstawieniu nadmiernego wirtuozowstwa formy, które przecież tak często poecie zarzucają.

Z dannunciańskiego ujęcia świata tryska źródło jego poezji. Czymże jest świat, czym jest życie dla poety? Nie abstrakcyjnym splotem zdarzeń i sytuacyj, lecz nade wszystko czymś zmysłowym, niejako wspaniałym owocem, ofiarowanym jego oczom, ustom, dłoniom. Poeta z rozkoszą poddaje się intensywnej radości zmysłów, zachłystuje się pięknem istnienia, zatraca się w ekstazie pogańskich dytyrambów.

Z niemal barbarzyńską zaborczością i zachłannością, z siłą, którą daje poecie jego aintelektualna postawa — nie poddawanie wrażeń swoich analizie myśli — wyrusza on na podbój tej wyolbrzymionej rzeczywistości, którą — po stokroć — szturmem zdobywa. Upajanie się tym nieustającym zwycięstwem, oto jeden z podziemnych nurtów jego poezji.

Przede wszystkim — przyroda. Poeta czuje tajemny, intymny związek między sobą a siłami i żywiołami przyrody, z którymi się niemal identyfikuje. Skupia on w sobie niby w soczewce promienie życia, więzi w sobie obraz świata, a z drugiej strony twórczość jego jest niejako rzutem osobowości poety, fizycznej i psychicznej, na świat otaczający.

Cudowne przenikanie tajemnicy świata, wyczucie gdzieś u praźródeł leżącego powinowactwa prowadzi poetę do jakiejś ekstatycznej nirwany, do przejścia poza granicę kontemplacji, do całkowitego zatracenia się w świecie. I w chwili gdy się najpełniej w nim zatraca, najpotężniej się odnajduje, w chwili gdy przekracza granice swej osobowości, najsilniej mu się objawia niewysłowiony cud istnienia. „Rozumie, że jego życie rzeczywiste jest, że tak powiem, nie żyte przez niego. („Zda się nie żyję, jestem żyty"!). Jest zbiorem wrażeń leżących poza zasięgiem woli, bezpośrednich, podświadomych, instynktownych, jest aktywnością harmonijną i tajemniczą animalnego bytowania, niedostrzegalnym przechodzeniem jednych metamorfoz w drugie, jednym ciągiem nieustannych odnawiań się" („Piacere"). Z drugiej strony indywidualność jego jest tak władcza, że narzuca on niejako nawet nieożywionej materii swą kipiącą zmysłami wrażliwość. A więc już nie „kącik natury" ale świat cały, „widziany poprzez pryzmat temperamentu artysty".

Przyrodzona poecie wyjątkowa wrażliwość na zjawiska świata zewnętrznego, zdolność spontanicznego znajdywania formy dla swych doznań zmysłowych, ujmowania najbardziej sugestywnych cech pejzażu, tworzenia nowych mitów, głęboko wrastających w jego poczucie świata roślinnego i zwierzęcego, wreszcie dążność do utożsamiania się z tym światem w dionizyjskim uniesieniu pozwala mu na stopienie tych najróżnorodniejszych elementów w całość par excellence muzyczną. Stąd wypływa bardzo głębokie poczucie wartości słowa i naturalna, z prawdziwej wewnętrznej potrzeby płynąca dążność do rytmicznego układu zdań, nawet wtedy, gdy poeta pisze prozą. W tych warunkach słowo nabiera znaczenia nowego i często olśniewającego, staje się akumulatorem prądów psychicznych o bardzo wysokim napięciu, a rytm wznosi się i opada jednocześnie z falą wzruszenia, wrażliwy na najsubtelniejsze drgnienia emocjonalne.



Teresa Kulejowska
Martwa natura

Tak więc D'Annunzio, który u nas znany jest jedynie jako powieściopisarz, wypowiada się w sposób znacznie pełniejszy i bardziej bezpośredni w wierszach swych niż w prozie: krótka forma liryki oddaje znacznie lepiej fragmentaryczność stanów duchowych, właściwych jednostce o temperamencie tak bardzo zmysłowym, organizacji psychicznej o wybitnej przewadze elementów emocjonalnych nad intelektualnymi; z drugiej strony dążenie do doskonałości wyrazu słownego i do sharmonizowania dźwięków, które odnajdujemy nawet w prozie poety, rozkoszowanie się giętkością słowa, doskonale przylegającego do treści uczuciowej, trafnością metafory, plastyką obrazu, znajduje znacznie bardziej naturalne i swobodne ujście w formie wiersza.

Przez swój niezwykły rozmach twórczy, D'Annunzio zeuropeizował, zgalwanizował poezję włoską, tkwiącą w tradycyjnym, często koturnowym klasycyźmie (podobnie jak wprowadził nowe prądy o szerszym zakresie w „zaściankową" atmosferę powieści włoskiej XIX wieku), i udostępnił ją przez to naszemu odczuwaniu estetycznemu.

Ktoś nazwał poetę „un barbaro raffinato" — „wyrafinowanym barbarzyńcą". Kto wie, może właśnie w owym drażniącym niemal kontraście między bezpośredniością reakcji zmysłowej, spontanicznością odczuwania, a kunsztem formy, wyrafinowaniem wyrazu poetyckiego, leży swoisty urok poezji Gabriela D'Annunzio.

ZMARTWYCHWSTAŁE ŹRÓDŁO

Gabriele D'Annunzio

Byliśmy zgromadzeni wszyscy wokół zamarłej fontanny. Nieprzewidziana chwila wytchnienia, uroczysty nastrój zamkniętej przestrzeni, srebrny chłód światła, padającego z góry, bezpośrednia bliskość przemiany zdawały się udzielać starej bezwładnej fontannie tajemniczego czaru dzieła niemal magicznego. Potężna masa marmuru — okazały splot koni neptunowych, trytonów, delfinów i konch w potrójnym rzędzie — wznosiła się przed nami, pokryta szarawymi liszajami, wysuszonymi porostami, bielejącymi tam i sam jak pień białej topoli. Zdawało się, że te rozliczne wargi ludzkie i zwierzęce zachowały w milczeniu intonację płynnego głosu, który ostatni raz przez nie przepłynął.

— Odsuńcie się — rzekła Anatolia, pochylając się ku płycie z brązu, która zamykała okrągły otwór blisko brzegu dolnego basenu. — Puszczam wodę.

I włożyła palce w pierścień, wystający ze środka okrągłej płyty, starając się podźwignąć ciężar; po bezskutecznym wysiłku podniosła się z płonącym obliczem. Gdy przyszedłem jej z pomocą i uniosłem płytę, pochyliła się na nowo i ręką odnalazła ukryty mechanizm. Cofnęliśmy się oboje zgodnym ruchem, podczas gdy słychać już było bełkot wody, podnoszącej się w żyłach umarłej fontanny.

Nastała chwila trwożnego wyczekiwania, jakby paszcze potworów miały dać odpowiedź. Mimo woli wyobrażałem sobie rozkosz kamienia, nawiedzonego przez płynne, chłodne życie. Odtworzyłem w sobie ów dreszcz niemożliwej, niewysłowionej radości.

Rogi trytonów zadźwięczały, w paszczach delfinów zabulgotała woda. Z wierzchołka bluznął z sykiem strumień wody, lśniący i szybki jak rzut szpadą w błękit; załamał się, cofnął, zawahał się i trysnął na nowo, jeszcze prostszy, jeszcze mocniejszy. Zatrzymał się wysoko w powietrzu, stał się przezroczysty jak diament, zamienił się w łodygę kwiatu, zdawał się zakwitać. Najpierw zabrzmiał w zamknięciu jakiś dźwięk krótki, wyraźny niby trzaśnięcie z bicza i odbił się tysiącznym echem. A potem była to już kaskada potężnego śmiechu, grzmot oklasków, huk burzy. Z wszystkich paszcz trysnęły strumienie, które wygięły się w łuk, by napełnić stojące niżej konchy. Kamień, na który tu i tam padała woda, pokrywał się ciemnymi plamami, błyszczał fragmentami gładkiej powierzchni, zarysowywał się coraz gęstszymi pasemkami wody. Wreszcie zachłysnął się cały rozkoszą w zetknięciu z chłodem wody, wydawało się, że otwiera niezliczonym kroplom wszystkie swe pory, ożył, jak drzewo obdarzone błogosławieństwem chmury. Nagle najciaśniejsze nawet wklęśnięcia napełniły się, wezbrały, strumienie wody zawiązały się w srebrzyste wieńce w ciągłym stawaniu się: znikaniu i odnawianiu. W miarę, jak mnożyły się gry kształtów, błyskawicznie powstających, błyskawicznie ginących na różnych wypukłościach rzeźb, wzmagały się nieustannie dźwięki, tworząc muzykę coraz potężniejszą w głębi rozdrganych echem ścian. Ponad kapryśną symfonię wody padającej na wodę, wzniósł się potężny szum i łoskot głównego strumienia, który rozbijał o karki trytonów przecudne kwiaty, zakwitające co chwila na wierzchołku jego łodygi.

(Z powieści „Le Vergini delle Rocce" 1896)

tłum. *Krzysztof Wencel*

POŁUDNIE
(fragmenty)

Gabriele D'Annunzio

— — — — — — — — —
— — — — — — — — —

Żar. Cisza.
Lato dojrzewa
nad głową moją jak jabłka
owoc,
ustom mym obiecany;
zerwać go muszę
własną mą dłonią,
upić się jego wonią,
wyssać go muszę
wargą nienasyconą.
Zatarty wszelki ślad
człowieka. Z daleka
ucho nie chwyta dźwięku,
gdy nasłuchuje. Obcy mi
staje się ból człowieczy.
I nie mam więcej imienia.
I czuję, jak zmienia
się twarz ma, jak się złoci
złotem południa czarownym;
włos jasnej brody mej błyska,
jak algi złocisto-płowe.
Czuję, że morskie wybrzeże,
wiatrem ścigane i falą
zmienną,
jak podniebienne
sklepienie jest i jak wnętrze
dłoni wrażliwe
na dotyk najsubtelniejszy.

I kształt mój wrzyna się w piasek,
rozpływa się w morskiej głębi;
rzeka — ma żyła serdeczna,
góra — me czoło wyniosłe,
bór — wzgórek mego łona,
chmura — pot mój rosisty.
Jam w kwiecie mikołajka,
i w łusce szyszki sosnowej,
i w jałowcowej jagodzie,
w morszczyn brunatnej czerwieni
i w morskim sitowiu,
w każdej rzeczy maleńkiej,
w każdej rzeczy bez granic,
w piasku drobnym ziarenku,
i w dali górskich mgławic.
Błyszczę, płonę
i nie mam więcej imienia.

— — — — — — — — —
— — — — — — — — —

Nie mam imienia ni doli
ludzkiej. Zwę się
Południe. We wszystkim żyję,
milczący jak Śmierć.

I przez życie me boskość przepływa.

tłum. *Krzysztof Wencel*

OD KONTEMPLACJI DO KIERUNKOWOŚCI

Grzegorz Timofiejew

Rozważania podjęte przez Suchodolskiego na temat polityki kulturalno-oświatowej w Polsce współczesnej[1]) nie mogą być obojętne również i dla nas, pisarzy. Wkraczają przecież w zakres, który ugina się od wspólnych trosk — chodzi bowiem o postać człowieka, jakiego sobie poeta, myśliciel, wreszcie wojujący publicysta zamarzył. Realizacja jego potrzeb przedłuża nasze możliwości. Dość wskazać na przykład ustawy bibliotecznej, która ma wszelkie dane po temu, by literaturę z miast i kawiarń wyprowadzić pod owe strzechy zarumienione zorzą wiejską, widziane w snach poetyckich Mickiewicza.

Wezwanie genialnego imienia nie jest tu nadaremne; właśnie wielka literatura polska, jak żadna może inna, pełna jest duchowego wychowawstwa. Nie tylko cyzeluje duszę, ale i drogi oraz pochody wytycza. Duchowym zmysłem wyczuwa praktyczne potrzeby społeczeństwa. Współtowarzyszy w upałach życia. Kształtuje rojenia... I chociaż uzyskanie niepodległości odjęło tym troskom ciężar najbardziej utylitarnych spraw, to przecież jak promienista cząstka radu została nam miłość duchowego rozwoju człowieka. Chcemy, by leczyła, by przepalała złe, by rozjątrzone rany zasklepiała w zdrowy organizm.

Tu spotkamy się wszyscy. Porywa nas jednaka żarliwość, woła wspólny cel. Uzgodnijmy więc środki.

Wspomniana książka Bohdana Suchodolskiego daje po temu doskonałą sposobność. Polityka kulturalno-oświatowa w Polsce współczesnej? Bogactwa tego problemu niepodobna wyczerpać w jednym felietonie. Powinniśmy te rzeczy gruntownie przemyśleć i przedyskutować, jako że w procencie znacznym — bo w procencie wpływu literatury na bieg życia wewnętrznego — bierzemy za nie odpowiedzialność.

Na tym miejscu parę uwag.

Spraw kulturalno-oświatowych nie wolno zacieśniać do kształtu czterech ścian izby szkolnej. Sprawy te urastają do miar żywiołu, stanowią podbudowę państwa tak samo jak armia. W epoce prób organizowania narodów od wewnątrz — na co słusznie zwraca uwagę Suchodolski — mobilizacja przestaje być rzeczą jedynie rekruta, lecz staje się wysiłkiem całego społeczeństwa, egzaminem danej kultury. A Polska ze względu na swoje położenie tej aktualnej prawdy zlekceważyć nie może.

„W napięciu woli entuzjazmu — pisze Suchodolski — dźwigają się nasi sąsiedzi do wielkich przeznaczeń dziejowych. W ofiarach, pomyłkach, zwycięstwach tworzą nową kulturę od podstaw, od samej gleby przeoraną". Jeżeli nawet ocena pozagranicznych potencjałów jest nadto bezkrytyczna, wyraźnie przez mity podyktowana — to przecież wskazanie ważności dzisiejszego przełomu historycznego, uświadomienie powagi naszej sytuacji międzynarodowej policzyć należy do konstatacji słusznych. Jakkolwiek nie nowych — ciągle potrzebnych.

Toteż, by zadaniom obecnej i przyszłej chwili podołać, należy tworzyć kulturę taką, aby wnikała w codzienne niejako pory, aby wypełniała sobą szczelnie każdy dzień powszedni, dzień ten budowała i umacniała. Kultura nie może wyrywać jednostki z jej środowiska i obowiązków, zamykać w szklanej gorze pięknoduchowstwa i nie mocnego intelektualizmu. Suchodolski, zresztą nie on pierwszy, słusznie zwraca uwagę na powszechne prawie wszędzie zjawisko przewartościowania kultury, która nastawia się na tory społeczne i narodowe, chce iść z życiem, a nie pod prąd, z kontemplacji rezygnuje na rzecz kierunkowości. I tu znów stajemy przed trafnym stwierdzeniem: „w zmaganiach między państwami rozstrzyga nie tylko siła zbrojna, ale również i siła dążenia w przyszłość, zdolność wydobycia się z chaosu, umiejętność nadania kształtu życiu".

Chodzi więc o dalekonośność ideału kulutralnego.

Tej siły przejrzenia ciemności przyszłych losów, wytyczenia jasnych dróg, umiejętności kształtowania naszego życia według nowych potrzeb — zdaniem Suchodolskiego — nie posiadamy w stopniu dostatecznym. „Żyjemy w zaciszu i bez wielkiego planu, rzutowanego w przyszłość a rzeczywistego w każdym tętnie bieżącego działania". Autora nęka jak gdyby widmo Czynu, jakie trapiło naszych wielkich. Nie potrafimy zdobyć się na żaden żywiołowy podryw? Być może. Jednakże na usprawiedliwienie powiedzieć trzeba, że zaledwie niedawno obeschły od krwi serdecznej pióra pisarzy, że tytaniczny trud walki o niepodległość musiał przecież siły polskie wyczerpać. Analogia tedy z losem innych narodów jest o tyle nieścisła, o ile inną koleją toczyły się dzieje Polski.

Zresztą można się sprzeczać, czy zawsze kultura rozrasta i sumuje się nagłymi eksplozjami. W poglądach Suchodolskiego przebija jakiś katastrofizm, który pada na nasze stosunki jako odblask mitu kultury, powstającej w wyniku walk. Mit rozniecany zarem Żeromskiego i Brzozowskiego — czy nie zawiera jednak w sobie sugestyj burzycielskiego maksymalizmu? Macie wy odwagę Lenina? — chłostał kiedyś Żeromski. Suchodolski podchwytuje jak gdyby echo tamtych oskarżeń o brak odwagi, brak ryzyka w naszym życiu.

Nie przesądzam tej kwestii. Chciałem tylko tu wskazać na jedną rzecz. To, co w naszych oczach wydaje się być nagłym ryzykiem, tak jaskrawo zilustrowanym przez próby sowieckie czy Niemiec hitlerowskich, stanowi dla obu wymienionych państw właśnie nawrót do ich prawd wewnętrznych, więc nawiązanie — choć będzie to brzmiało paradoksalnie — do tradycji. Rosja zawsze żyła gwałtownymi skokami krwi; budując sowiecką rzeczywistość, wróciła do siebie. Oczywistość tę podkreślił Aleksy Tołstoj w swojej trylogii o Piotrze Wielkim. Hitleryzm zaś rozumie się pełniej w świetle wieloletnich zmagań narodowego ascetyzmu z wybujałym pysznie goethowskim kosmopolityzmem. Głębsze a równie szersze rozwinięcie tych szkicowych uwag utwierdziło by nas w przekonaniu, że zjawiska takie jak ewolucja i rewolucja nawet w odniesieniu do spraw kulturalnych nie mogą być brane w oderwaniu i w przykładaniu do losów różnych narodów ad libitum, lecz właśnie muszą być rozpatrywane w swoim ognisku, na podłożu całego kompleksu okolicznych spraw i w zakresie właściwego przebiegu dziejowego.

Umiejscowienie punktu widzenia na wyżynach obserwacji cudzej historii i cudzego wysiłku a nie w niepowtarzalnych dziejach Polski prowadzi na manowce chwytanego skądinąd schematyzmu. Stąd i apokaliptyczne oczekiwania jakiegoś bliżej nieokreślonego cudu, bo tak trzeba określić rojenia o natychmiastowym zdynamizowaniu naszego życia. Tymczasem już samo tylko nadanie naszej kulturze kierunkowości, więc ruchu, więc impetu — w konsekwencji przełamać musi marazm, porwać za sobą społeczeństwo. Takie nastawienie wyzwoli siłę dążenia w przyszłość.

Tu zauważę, że przecież literatura polska tak w walce z „czerepem rubasznym" jak i kajdanami niewoli — wypracowała bogatą teorię socjologiczną. Polska myśl radykalna tym nad francuską górowała, że pędami wszczepiła się w grunt, zdążała do konkretności. W dobie trosk o przebudowę ustroju to przecież obowiązuje.

Ale o jaką to kierunkowość w kulturze chodzi? O siłę żywą, twórczą, która by życie narodu nastawiła na poziom w pełni uduchowiony. Tutaj budowanie kultury na zrębach powszedniego dnia, przenikanie jej w nasze codzienne niejako pory — uznać trzeba za pierwszą próbę zerwania z samymi li tylko dyskusjami, za podstawowy fakt, który potem sam rodzić będzie owoce.

Dokona się przede wszystkim upowszechnienie kultury, związanie jej pnia z żywotnymi siłami narodu — chłopstwem i robotnikiem fabrycznym. Nastąpi przełamanie ciasnych kast elitaryzmu i „talentyzmu"; życie duchowe szybciej i pełniej krążyć zacznie po żyłach całego organizmu. Albowiem kultura powinna stanowić żywotne dobro powszechne a nie przywilej czy oznakę szczupłej elity. Epoka niedawna wyznawała odziedziczone po arystokracji mniemanie, jakoby kulturę trzeba pielęgnować i nią niziny obdzielać. Otóż to, obdzielać... Mniemanie takie pokutuje dotąd w naszej polityce kulturalno-oświatowej. Ileż w tym jednostronności! Niechętnie skłaniamy się do rozumienia, że kultura powinna być różnowarstwowa, że musi rodzić się równomiernie w wielu różnych ośrodkach, narastać i krą-

[1]) B. Suchodolski, Polityka ośw. kult. w Polsce współcz. Nakł. Naszej Księgarni, 1937.

żyć sokami jak słoje w najszerszym duchowym drzewie. Życie wewnętrzne naszej wsi dopiero zaczyna się kształtować, fabryczne zaś ośrodki dotąd się nie zbudziły.

Tak rozumiane przewarstwowienie kultury, jej upowszechnienie i rozprowadzenie w codziennym obiegu — nie może się zmieścić w kategoriach odziedziczonego po arystokracji elit rozumowania. Przywykliśmy taksować kulturę według skali „talentyzmu", jednostkowych osiągnięć, jakby tu chodziło o wyczyny na ringu. A tu trzeba nauczyć się widzieć tę kulturę — jak słusznie powiada Suchodolski — nie tylko w życiu elity wielkomiejskiej, jakie może być dostępne dzisiaj tylko dla uprzywilejowanych, ale i w stylu codziennego życia, w pracy, w postawie wobec bliźnich, w pełnieniu obowiązku, w stosunku do samego siebie, wreszcie wobec przyrody i Boga — a więc w całej tej sferze konkretnożyciowej, dostępnej każdemu człowiekowi.

„Bo nie jest światło, by pod korcem stało"...

Polityka oświatowo-kulturalna w Polsce współczesnej, realizująca ideę tak właśnie pojętej kierunkowości w kulturze, byłaby jednocześnie spełnieniem tęsknych snów Norwida o pięknie, co ulepsza...

WALKA O KULTURĘ ŁODZI

Jerzy Korwin Kosarski

Zastrzeżenia wstępne

Niełatwa to rzecz rozprawiać o kulturze jakiegoś środowiska, trzeba bowiem do tego i bystrej obserwacji i odpowiedniego przygotowania naukowego, aby nawet publicystyczne opracowanie tematu nie odbiegało od rzeczywistości. Najdalszą zwłaszcza ostrożność należy zachować przy ocenie Łodzi. Wobec tego miasta tyle panuje najróżniejszych uprzedzeń i fałszywych sądów, że wskazaną jest rzeczą przemyśleć głęboko — czy istotnie Łódź posiada kulturę, czy jej we właściwym i nowoczesnym znaczeniu tego wyrazu nie posiada. Bo rzecz to niewątpliwa, że ocena Łodzi na terenie Polski nie jest właściwa, ale niemniej można poddać w wątpliwość prawo do megalomanii, jaka coraz wyraźniej w mieście naszym wzrasta, tym bardziej, że nie wiadomo, czy wywołują ją wartościowe i twórcze prace, czy tylko pobożne życzenia kilku starszych panów i kilkunastu młodszych, radzących przy czarnej kawie o kulturze naszego miasta. Zastrzeżenia autora artykułu wynikają tylko z poczucia odpowiedzialności za słowa, bo może zdarzyć się wypadek, że ktoś za kulturę bierze cywilizację, albo zgoła sądząc, iż reprezentuje kulturę pewnego środowiska, chwyta tylko jej odpryski i rzeczy nieważne. O to szczególnie łatwo w Łodzi, ponieważ miasto nasze nie posiada wiekowej, starej i poważnej tradycji, a tym samym nie wytworzyło jeszcze ani odpowiedniej atmosfery, ani właściwego oblicza kultury o głębokim pierwiastku humanistycznym. Jesteśmy na dorobku kulturalnym i dlatego powstaje pytanie, jakie stadium tego dorobku chwila obecna przynosi. Sądzę, że tylko takie pytanie ma jakikolwiek sens w naszej rzeczywistości, ale jeśli tak jest naprawdę, uważam, że za wcześnie jeszcze na to, aby samozwańczo zresztą przywdziewać na siebie szaty reprezentacyjne kultury Łodzi, kiedy trzeba dopiero zakasać rękawy, aby ciężką i odpowiedzialną pracą budować tę kulturę od podstaw w środowisku głodnym głębokich wzruszeń, a więc nareszcie dojrzałym do życia duchowego.

Arcyniemiła historia

Niedawno rozmawiałem w Warszawie ze studentem trzeciego roku prawa. Chciał mnie przekonać, że Łódź nie jest większa od Płocka. Sam pochodził spod Sierpc i podejrzewał mnie o stronniczą obronę własnego środowiska rodzinnego. Według niego fałszywa miłość Łodzi nakazywała mi kilkakrotnie powiększać liczbę jej mieszkańców oraz przeceniać rolę miasta w przemyśle włókienniczym kraju. Ogarnęła mnie pasja, dowodziłem „Małym rocznikiem statystycznym", podręcznikiem geografii i dziennikami. Mimo to ciągle widziałem w oczach rozmówcy błysk niedowierzania. Podejrzewał, że wszystkich ogarnęła jakaś niezdrowa gorączka i że majaczenie zniekształciło oblicze rzeczywistości. Ten tępy upór wyprowadził mnie z równowagi, ale od tej też chwili zacząłem dochodzić przyczyn, dla których drugie po Warszawie miasto jest nieznanym zakątkiem świata.

Waga bawełny

Dzisiaj rozumiem już doskonale, dlaczego moje rodzinne miasto wydaje się nie większe od Płocka; rzecz to przecież tak prosta — nie wytwarza i, co może ważniejsze, nie wytwarzało nigdy jeszcze wartości kulturalnych na miarę Krakowa, Lwowa, Warszawy, Poznania czy Wilna. W dziejach kultury polskiej jest niezapisaną jeszcze kartą. Ta białość karty wytwarza właśnie nieświadomość rzeczy. Łódź nie jest bowiem środowiskiem, którym żyje ktośkolwiek w Polsce, oddalony od tego miasta choć o kilkanaście kilometrów, gdy tymczasem stolica wytwarza pokarm duchowy na cały kraj i to samo w nieco tylko mniejszym stopniu dzieje się z każdym innym miastem uniwersyteckim. I wcale nie przeszkadza temu stanowi rzeczy to, że każdy w Polsce może jednocześnie nosić na sobie ubiór z materiałów łódzkich; tym się przecież nie żyje, to nie wpływa na przeżycia psychiczne w tym stopniu, aby kształtowała się w sposób zależny od ubioru osobowość dojrzałego człowieka. Łódź jest po prostu ośrodkiem produkcji przemysłowej, ale nie jest ośrodkiem twórczości duchowej, z tego względu nie stanowi atrakcji kulturalnej jako środowisko i z tego względu nie przenika do świadomości każdego obywatela Polski ani ogromem miasta, ani rozmachem życia przemysłowego, ani żywotnością swych procesów społecznych. Łódź bowiem jest dla Polski i świata tylko jedną, olbrzymią wytwórnią materiałów włókienniczych i tylko tyle. Widać z tego, jak waga bawełny przeważyła na swoją stronę wszystkie inne wartości i jak dymy z łódzkich fabryk doskonale odgradzają nas od nieba i lazuru.

Kwiaty bez owocu

Trudno sobie jednak wyobrazić, aby wśród siedemsettysięcznej masy ludzkiej nie było aspiracyj kulturalnych. Zjawiły się one już wtedy, gdy Łódź po raz pierwszy mogła odetchnąć z gwałtownego wzrostu, a więc tuż przed 1900 rokiem, ale wtedy nie tylko odetchnęła, ale i zaczęła liczyć swoje pieniądze. Miała ich już bardzo wiele i zapragnęła nagle konsumować kulturę. Wybudowała teatr stały przy ulicy Konstantynowskiej i sprowadziła doskonały zespół aktorski. Później zwróciła się po zaspokojenie swych potrzeb kulturalnych do Warszawy. Od samych narodzin zresztą Łódź wzrastała pod wpływem jej środowiska i o ile wyrosła na samodzielny i potężny ośrodek przemysłowy, o tyle nie zdobyła się na inicjatywę twórczą w dziedzinie kultury. Stolica założyła sobie w Łodzi filię, do której sprowadzała, jak to zwykle bywa z prowincjami, ułamki swych prawdziwych wartości. Pod tym jednak wpływem i samo miasto pobudzało się do wzlotów, niestety nie mogły się one przyjąć na stałe i nie mogły być zawiązkiem bujniejszego życia kulturalnego. Drzewo zakwitało, ale nie wydawało owoców.

Waga narodzin

Aby zrozumieć ten dziwny proces, trzeba cofnąć się myślami do samych narodzin Łodzi przemysłowej. Waga tych narodzin jest tak wielka, że bez niej nie znajdziemy klucza do chwili obecnej. Trzeba to przecież powiedzieć jasno i otwarcie, że Łodzi nie wytworzyły dłonie i mózgi czysto polskie, choć inicjatywa pochodziła z grona członków Królestwa Kongresowego. Sprawa w okresie nacjonalizacji ducha musi wywołać u człowieka nie ograniczonego płytkością pojęć prawdziwe rumieńce wstydu. Historia może przecież na wielu swych stronnicach wołać głosem donośnym: gdzie była polska myśl gospodarcza, polska inicjatywa i narodowy zapał do budowania warsztatów pracy?! Otóż jest to nie tylko głos historii, ale i również głos zaniepokojonego sumienia. Jeszcze dzisiaj

mówią po Polsce o tym, że w Łodzi słyszy się tylko mowę niemiecką i żydowską, a nie wnika się wcale w istotne przyczyny tego zjawiska. A to takie jest proste, bo przecież tak samo jak w średniowieczu dla podniesienia kultury rolnej trzeba było kolonizatorów niemieckich, tak i dla rozwoju polskiego przemysłu trzeba było sił z pobliskich Niemiec. Zjawisko tym bardziej jest charakterystyczne, że do Polski w okolice Łodzi nie napływał najbardziej wyborowy zespół ludzi. Byli to najczęściej tkacze ręczni, których wyrzucała z ojczyzny mechanizacja warsztatów pracy. Nie wytrzymywali właśnie konkurencji z przemysłem o napędzie parowym, więc wykorzystali ten szczęśliwy moment, że w Polsce zaczynało się dopiero organizować prymitywne fabryki tkackie o kilkunastu lub co najwyżej o kilkudziesięciu warsztatach tkackich. Oczywiście, że z kolei rzeczy i w Łodzi nastąpiła mechanizacja fabryk, ale właśnie wtedy ich właścicielami, kierownikami technicznymi i majstrami zostali prawie w stu procentach Niemcy. Następnie dopiero w okresie kolosalnej koniunktury coraz tłumniej osiedlali się w Łodzi żydzi i to już wtedy głównie, gdy pozytywizm wołał o Wokulskich i polski typ człowieka interesu. Niestety te piękne naówczas hasła trafiły przede wszystkim do przekonania cudzoziemcom lub obywatelom państw zaborczych o narodowości niepolskiej. Ostatecznie Niemcy i żydzi zostali w Łodzi warstwą naczelną, jako przemysłowcy i kupcy, przeważając liczebnie i jakościowo nad podobnym elementem polskim. Zjawisko to doskonale zresztą oddaje „Ziemia obiecana" Reymonta. Rzecz oczywiście prosta, że wskutek rozwoju miasta wtargnęła do niego również ogromna rzeka elementu chłopskiego z okolicznych wsi i osiedli. Był to element czysto polski, ale w hierarchii mieszkańców miasta skromne zajmował stanowisko, stanowił bowiem warstwę robotniczą, pilnującą z coraz większym wysiłkiem coraz bardziej precyzyjnej maszyny.

Wieża Babel i smok nienasycony

W tych warunkach nie mogło być mowy o jednolitej kulturze środowiska. W Łodzi odrębne życie prowadzili Niemcy, zakładając własne towarzystwa sportowe, oświatowe, śpiewacze i teatralne; takie same życie odrębne prowadzili żydzi i proletariat polski, który na teren miasta przenosił żywcem obyczaje i język pierwotnego środowiska, to znaczy wsi głównie mazurskiej. Ale jeszcze przed wojną światową element robotniczy dopracował się już własnej świadomości narodowej, właśnie w Łodzi powstają wtedy bardzo czynne i patriotyczne ośrodki walki z caratem. W tym też mieście znajduje dla siebie odpowiednią atmosferę Józef Piłsudski. Taki stan rzeczy trwa aż do odzyskania niepodległości, życie kulturalne Łodzi, lub jak kto woli duchowe, odbywa się wtedy na dwóch kondygnacjach, górę stanowi element niemiecki i żydowski, a dół patriotyczna warstwa robotnicza, uświadomiona również klasowo. Odzyskanie niepodległości zmieniło szanse życia. Warstwa górna, a ściślej jej niemiecka część, utraciwszy oparcie o okupację niemiecką, poczęła pomału więdnąć i przenikać w warstwę polską; żydzi również przylgnęli do przenikającej zewsząd kultury polskiej, która zalewała Łódź coraz wyraźniej ze wzrostem ludności robotniczej, zaspakajającej swą masą potrzeby przemysłowe miasta. I gdyby teraz te wielotysięczne tłumy były pod względem materialnym równouprawnione, być może, że wytworzyły by środowisko kilkujęzyczne z kulturą o charakterze międzynarodowym, ale ponieważ warunki materialne ułożyły się rozmaicie, musiała nastąpić walka elementów różnojęzycznych o prymat w przyszłej syntezie środowiska łódzkiego. Nie trudno przewidzieć, że wskutek warunków państwowych najwięcej szans miał od razu proces polonizacji. Postąpił on bardzo silnie naprzód i nic nie stracił ze swej siły zdobywczej, raczej coraz większe zatacza kręgi i coraz szersze ogarnia horyzonty. Wieżę Babel pierwotnej kultury środowiska pożera już wyraźnie nienasycony smok polskich sfer pracowniczych.

Gorączka trawienia

Oczywiście, że w tych warunkach nie mogła powstać wysoka i samodzielna kultura środowiska. Śmiem twierdzić, że jeszcze jej nie ma w sensie jedynie prawdziwym, to znaczy, że nie widzę w Łodzi bujnego życia duchowego, wspartego o wartości humanistyczne. Łódź trawi jeszcze gorączka porodowa, a różnojęzyczne elementy kulturalne dalej walczą ze sobą i nie dają syntezy, jako naturalnego zakończenia po okresie ustalania się właściwego oblicza. Zresztą wiele czasu musi jeszcze upłynąć, zanim ten proces dojrzewania środowiska do kultury zakończy się całkowicie, nie należy się też spodziewać, że kultura Łodzi podobna będzie do kultury któregokolwiek środowiska uniwersyteckiego, silny ślad wyryją na niej początki rozwoju oraz najmocniejsze elementy żywiołu niemieckiego i żydowskiego. Osobiście uważam, że chwila obecna jest nader charakterystyczna, ponieważ proces polonizacji środowiska łódzkiego przechylił już szalę prymatu zdecydowanie na swoją stronę, ale jednocześnie, straciwszy siły na niwelację kulturalną Łodzi, nie wytworzył odpowiednio wysokiego poziomu. Atmosfera kulturalna miasta nie jest też wysoka, choćby z tego względu, że element robotniczy stwarzając przewagę dla polskości nie wniósł do tej przewagi wartości kultury ogólnopolskiej, bo jej sam nie posiadał, karmiąc się jeno jej okruchami. Ale zaczyna się okres wzrostu wartości i głodu do wzruszeń intelektualnych i jakkolwiek procesy fermentacji zachodzą z tej już tylko przyczyny, ze istnieje w jakimś ciele zaczyn, ale niemniej możemy świadomie i z całą rozwagą te procesy fermentacji przyspieszyć. Trzeba tylko zapytać, kto ma po temu i odpowiednie siły i odpowiednie prawo do działania.

Prawo entuzjazmu i miłości

Atmosfera Łodzi jako środowiska jest wyraźnie merkantylna. Miasto powstawało dla produkcji włókienniczej z zupełnie naturalnym w tym wypadku dążeniem do zysku. Stąd wyrachowanie i kalkulacja grały większą rolę niż sentyment i uczucie, chyba, że może być mowa o uczuciu chciwości. W takiej atmosferze nie powstają łatwo zjawiska prawdziwej kultury. Wysoka cywilizacja, doskonałe maszyny i fabryki nie zaspakajają pełnego życia człowieka, tym bardziej, gdy jedni ludzie zajęci są gromadzeniem zysków, a drudzy w ciągłym niepokoju o utratę zarobku



Ratusz i Kościół ewangelicki w r. 1853 wg. sztychu z książki O. Flatta o Łodzi

Repr. Wł. Pfeiffer

nie sięgają myślą w te rejony, gdzie troska o chleb codzienny może być profanacją ducha. A przecież w Łodzi powstaje wyraźny bunt przeciw jałowej atmosferze miasta. Oto powstała już w międzyczasie nowa inteligencja zawodowa spośród dzieci dawnych rzemieślników i robotników. Ta inteligencja wypiera żywioł niemiecki z technicznych stanowisk w przemyśle, ogarnia poza tym handel, urzędy i instytucje społeczne. Wyrosła już w Łodzi i do niej po studiach wróciła, jest z miastem związana uczuciowo, ma prawo do miłości własnego środowiska. Kilku starszych panów z elementu napływowego do Łodzi w okresie jej rozwoju może tylko na mieście tym spekulować, ale ci młodzi ludzie potrafią coraz piękniejsze miasto swoje kochać, wbrew nawet logice entuzjazmują się jego życiem. To zupełnie zmienia postać rzeczy.



Łódź współczesna: Plac Wolności
Fot. Wł. Pfeiffer

Credo

Wyzwanie zostało rzucone, wśród kominów i dymów odzywa się coraz wyraźniej serce. Za trzos złota i wielkie fortuny nikt Łodzi jeszcze nie kochał, a my jesteśmy jej wdzięczni za ten skromny nawet los, jaki nam przypadł w udziale. Nikt tego miasta nie upiększył, z własnej inicjatywy nie ozdobił go pomnikiem i nie podarował mu na skwerek ani jednego centymetra ogrodu. Nie chcemy, aby tylko zasługą samorządu powstawały pomniki, parki i budowle, aby tylko troską czynników oficjalnych powstawało nowe życie. Zagadnienie kultury jest zagadnieniem osobowości i stosunku do świata i ludzi, dlatego pragniemy w dusznej atmosferze merkantylizmu obudzić nieco sentymentów dla miasta nieustannej pracy, pragniemy wytworzyć w nim atmosferę wysokiej i bogatej kultury, aby po naszym wysiłku nie śmiano się z Łodzi, jako z miasta brudu, wyzysku i głupoty. Już to samo pragnienie unosi nas na płaszczyznę zupełnie innego życia, niż dotychczas. Wywieszamy po prostu sztandar walki o kulturę Łodzi, czeka nas praca ciężka i twórcza, zawinięte rękawy aż po łokcie nie będą tylko literackim symbolem tego wysiłku, to będzie rzetelna prawda. I kiedy po kilkunastu latach przezwyciężymy marazm i bezwład siedmiuset tysięcznego środowiska, będzie się mógł niejeden ustroić w togę obrońcy prawdziwej, rzeczywistej już kultury Łodzi.

MYŚLI PRZEWODNIE

Zarys ideologiczno-programowy Towarzystwa Art. Lit. w Łodzi

Drugie co do wielkości miasto w Polsce, jakim jest Łódź, można by przyrównać — fizjologicznie — do jakiegoś niesamowitego żołądka, który własnej zawartości nie strawił. Wzrost zaludnienia, podsycany zarówno gorączką zysku jak pracy, pozostaje tu w dysproporcji do możliwości natychmiastowego przerobienia tego różnorodnego i zróżniczkowanego w interesach skupiska na jednolity psychicznie element, czysty stop kulturalny.

Wielkim miastem przeciągają jak gdyby niespokojne rzesze, tłumy falujące w odśrodkowy rytm, natchnione różną mową i różną wiarą.

Na zewnątrz wybrzmiewało to nie zawsze słusznie: ocena treści psychicznej Łodzi, czyniona przez obcych, była powierzchowna. Frazesem „złego miasta" usiłowano zbyć się trudu analizy i niepokoju poszukiwań. Nie chciano zrozumieć, że Łódź jest środowiskiem, którego praw trzeba dochodzić.

Ziemia obiecana? Pod osłoną hałaśliwego szyldu o „mieście pracy" Łódź przedwojenna ugruntowała się materialnie. Lecz pod względem kultury „ziemia obiecana" stanowi dotąd ugorną glebę, gdzie jednak pod twardością pierwszej upornej warstwy dyszą niespożyte źródła energii narodowej i rzeźwości twórczej. To obowiązuje.

Jak z jednej strony różnorodne i płynne składniki Łodzi należy stapiać w całość, w jednolity psychicznie element, tak z drugiej — trzeba dopomóc narodzinom nowej kultury w przemysłowo-robotniczym środowisku, już teraz wydobywając i organizując jego treść. Wydobywając, to znaczy zaciesem śmiałego trudu bijąc w oporność życia... O kulturę u nas trzeba walczyć.

Gdy kwestią stabilizacji bytu Łodzi zajmują się coraz skuteczniej powołane czynniki obywatelskie, to ludzie nauki i sztuki muszą budować zręby kultury — takiej, jaka 700 tysięcznej stolicy pracy powinna godnie odpowiadać.

Ambicja ta już istnieje. Łódź chce inicjować, tworzyć, stanąć w ogólnym wyścigu wszystkich środowisk, nie tylko konsumować wartości gdzie indziej wyprodukowane i iść utartymi szlakami.

Lecz dążenie takie, by nie było zdane na przypadek improwizacji, powinno być ujęte w karby zorganizowanej i przemyślanej akcji. Jak również, by nie było skazane na zagładę... Praca kulturalna w Łodzi nie jest łatwa. Prą, powiedzieć by można, podniecane głodem codziennym masy, ścierają się z sobą — o hasła, o sprawy wyraźne i pospólne. Przebijający się kiełek indywidualizmu zostaje starty, zmiażdżony burzą wielotysięcznych nóg, naporem masowej realności. Jakież trudne warunki ma tutaj sztuka, która potrzebuje przecież zrozumienia dla swoich artystycznych celów, powietrza, współczuwania, wytchnienia i pojednania.

Ale z tego też wynika niecierpiący zwłoki imperatyw budowania kultury od podstaw; praca taka, prowadzona wytrwale i w sposób przemyślany, da jednocześnie oparcie dla słusznych poczynań każdej wartościowej jednostki.

Zwłaszcza wysiłek literacki w Łodzi musi być trudem zbiorowym. Metropolia polskiego przemysłu włókienniczego reprezentuje ośrodek nastawiony na ujmowanie zjawisk en masse. Przewalają się tutaj głody i namiętności, ruchy społeczne i pasje. Literatura musi tu posiadać start publiczny — i to możliwie najszerszy — inaczej utknie na samotnictwie, kontaktu z olbrzymią rzeszą nie nawiąże.

Literackie próby tego rodzaju istniały w Łodzi w działalności „Meteora" i „Prądów". Obecnie powstające Towarzystwo Artystyczno-literackie w Łodzi do dzieła już uczynionego przyrzuca swoje usiłowania i swoje odrębne widzenia.

Doświadczenia lat ubiegłych pozwalają nam na wysiłek bardziej racjonalny i rozleglejszy.

Wiemy już, że literatura Łodzi, by móc się wybić na stanowisko prawdziwie twórcze i wartościowe, powinnna posiadać silny związek poprzez człowieka z daną ziemią, jej cechami i odrębnością. Gdyż tylko tak pojęty regionalizm buduje konkretny rezerwat duchowy dla ukształtowania się wielodzielnicowej, bogatej w odcienie i specyficzność kultury narodowej. Dlatego nowopowstałe Towarzystwo stawia sobie za cel zarówno rzetelną walkę, zarówno organizowanie życia kulturalno-literac-

kiego Łodzi, jak i nawiązywanie spoistego kontaktu z prowincją. Zwrócone zostanie pilne spojrzenie na teren województwa łódzkiego i jego cechy oryginalne.

Oczywiście, że suma tych wszystkich osiągnięć traktowana będzie jako wkład do kultury ogólnopolskiej, której tym samym poświęcona być musi bardzo wielka uwaga. Podkreślamy te zainteresowania jako zasadnicze.

W samej Łodzi Towarzystwo Artystyczno-literackie stawia sobie za cel, jak się już rzekło, walkę o pełny kształt życia literacko-artystycznego, a to drogą: uruchomienia pisma społeczno-literackiego, wszelkiej akcji wydawniczej, poruszania problematyki Łodzi na specjalnych wieczorach dyskusyjnych, zrzeszenia ludzi piszących w „spółdzielnię artystów", rozporządzającą własnym funduszem nakładczym, urządzania wszelkich imprez artystycznych, podniesienia poziomu żywego słowa przez zakładanie kół recytacji poetyckiej i inicjowanie turniejów wymowy, uruchomienia nadsceniki, ogłaszania konkursów literackich, mających Łódź za temat, propagandy książki i czytelnictwa, wreszcie penetracji robotniczego i młodzieżowego terenu.

Rozbudzaniu twórczości wśród robotników, jak również roli kształcącej literatury w środowiskach robotniczych nadaje się specjalnie doniosłe znaczenie. Łódź fabryczna stanowi niespotykany gdzie indziej warsztat, na którym forma kultury robotniczej rodzi się i coraz wyraźniejszego kształtu nabiera. Bacznie trzeba ten proces obserwować i brać w nim udział.

W tym celu Towarzystwo Artystyczno-literackie w Łodzi zorganizuje lotne patrole literackie, które pójdą w robotniczy teren, do sal fabrycznych i świetlic. Tu nawiąże się ścisłą współpracę z powstającymi już elementami kultury robotniczej. Pożytek stąd będzie obustronny: robotnikom damy piękno mowy naszej i bogactwo dorobku kulturalnego Polski, a sami mieć będziemy świeże obserwacje i zdobycze.

Z tym samym entuzjazmem nasze patrole literackie pójdą do świetlic młodzieżowych i pomiędzy szeregi młodocianych, by realizować troskę o kształtowanie duszy młodego pokolenia.

*

Te myśli przewodnie wiążą się w osnowę naszych projektów. Wierzymy, iż są one dość mocne, by czas je nie stargał, ani błahy przypadek.

WIZJE POLARNE

Tadeusz Sarnecki

Od Spitsbergenu wieje mrozem,
od wysp północnych i Grenlandii,
jak tlen połykam w płuca grozę
na cichych brzegach mglistej Anglii.

Kędyś pływają białe skały,
grobowce statków i wikingów:
w pustce i ciszy doskonałej
rozbrzmiewa głos stalową klingą.

Naprzeciw nocy, mgieł i śmierci
w powietrzu waży się albatros
i, chłonąc wichry w swoje piersi,
krzykiem przecina szlak katastrof.

Padam na wiatr szerokoskrzydły
i śpiewam morzu jak rybitwa.
Ach, spłynąć, skoczyć w lodu igły,
chociaż powietrze tnie jak brzytwa.

Poprzez wichurę i śnieżycę,
chmury i niebo sinoblade
tnę sierpem ciała jak księżycem
i znów się w skrzydło wiatru kładę.

Wzbijam się, zniżam, we mgle ginę
i zmarzniętymi płaczę łzami,
pośród lodowce spadam klinem
i głowę składam w śnieżny granit.

Nareszcie biegun. Witam, witam,
ziemio wrośnięta w mroczny półsen!
Na twoim sercu znalazł przystań
największy wiking — sam Amundsen!

Huczy nad jego głową żywioł,
świszcząc na poprzek gór i tramów,
poprzez huragan z pieśnią tkliwą
na wietrze płynie łódź normanów.

Komuż ta pieśń, czy tylko tobie
w polarną północ wiatrem wieje?
Niechże i ja do pustki powiem
w szóstym miesiącu śmierci — dnieje.

O ŚMIERCI

Grzegorz Timofiejew

Znowu myślę o śmierci
w pustce głuchej, chwili niepowstrzymanej.
Noc cwałuje i miażdży pierś mi
księżycowym kołem miedzianym.

Boże groźny, nieubłagany!...
Budowałem ciało i dom dla myśli...
A Ty z nagła rozwalisz ściany
i wyzwolisz mnie albo zniszczysz.

Oto lecę już w sny otwarte.
Drżenie serca od mroku dzieli.
Z rana świt mnie wyłapuje światłem.
I dyszę głębinowy na zmiętej pościeli.

Za oknem bije dzień niezwykły.
Drżą ręce pełne oczekiwania.
I wraca we mnie życie — przypływ,
który był w otchłani niepowracania.

W OTWARTYM OKNIE

Z pokoju, ze snu wychylony
w poranną radość i czekanie...
I gałąź blasku upuszczona
na czoło moje: zwiastowanie.

Na stu promieniach bucha pieśń.
Muzyka sfer otwarta w górze.
O, ręce objawione wieść
po niewidzialnej klawiaturze!

Natężam moc. Wewnątrz otchłanie
powstają, bijąc o brzeg skroni...
By w chwilę w głąb niedokonania
wrócić i skonać, drżąc w agonii.

A tu już miasto pełne dnia.
Domy pękają niepokojem. —
I na ulicy turkot gra
jak niepodjęte pieśni moje.

Kazimierz Sowiński

* * *

W oczach młodych rumieniły się pola — zorzą marzeń
czy rdzą zakrzepłej krwi?
W bór bohaterski szumiący wśród kart historii
wsiąkła żywica nie krew.

W żułowskie ściany rzeźwe od leśnej żywicy
niósł się słowiczy śpiew:
borem lasem, borem lasem,
polem...

Ruń rumiana ugoru zwijała się w sztandar.
Łopotały na drzewach pni
postrzępione płachty sosnowych koron.

Czuby grusz rozsiadły się po zagonach,
zapraszały w kolisko cienia
pachnące rutą.

Ale na drodze zmarszczki kładły się bruzdami.

W bruzdach —
nie: w rowach strzeleckich,
lśniące żądła bagnetów.

Brzęczały osy wśród malw.
Czasem zbłąkana kula —
O mój rozmarynie...

DLACZEGO NIE INTERESUJEMY SIĘ POEZJĄ — ARTYKUŁ DYSKUSYJNY

Tadeusz Sarnecki

Słowa i fakty

Wiele słów pada na temat literatury i wiele w tych słowach mieści się zamierzeń, ale bardzo rzadko stają się ciałem przez konkretny, dynamiczny czyn. Przypuszczam też, że niejeden już publicysta i literat zaciskał gniewnie dłonie w twardą pięść, kiedy spotkał przed sobą drętwotę ducha i popiół gwałtownych dyskusji. Wypaliły się w nich wszystkie ognie i namiętności, a został jeno proch na wietrze czasu. Idzie za nim zapomnienie tak gruntowne, że właśnie dziś ogarnia mnie znów pasja przypominania. Mówmy, mówmy gwałtownie o niedokonanych czynach. Jeszcze czas podnieść je z dna naszej apatii i zrealizować według tego, co wypowiedziały nie jedne usta i wypisały nie jedne ręce. Aby żyć, trzeba podjąć ofensywę przeciw własnej słabości.

Echo sprzed roku

Ileż to swego czasu wszystkie niemal pisma literackie rozprawiały o poezji. Wołano na alarm. Najgłośniej oczywiście recenzenci i krytycy, ponieważ co roku zalewały ich nowe tomiki wierszy, a trzeba je było przeczytać i przetrawić. Czytało się też wprost lub między wierszami: panowie poeci przestańcie, już dosyć, już było sto nowych tomów poezji, w tym pięćdziesiąt debiutów, poco jeszcze jeden, przecież nikt nie czyta, nawet my. Istotnie paradoks urastał do miary katastrofy kulturalnej. Zalew grafomaństwa groził obniżeniem poziomu pisarskiego w Polsce, a jednocześnie prawie nikt do ręki nie brał poezji w tym celu, aby ją poznać w nowym wydaniu i w nowym ujęciu autora. Utarł się nawet powszechnie pogląd, że poezja, jako trudna do rozumienia i percepji forma wyrazu artystycznego przeżyła się niemal bezpowrotnie i w masach nie wywołuje zaciekawienia, a więc właściwie nie ma racji bytu w tej co najmniej obfitości, jaką daje się co roku zauważyć. Zwyczajne już w takich wypadkach uprzedzenie nie pozwoliło na dojrzenie w zjawisku stron dodatnich. Debiuty bowiem poetyckie nawet nie udane są wykładnikiem coraz silniejszej świadomości mas. Opanowały one i nawet przezwyciężyły trudności językowe, czego właśnie dowodem musi być usiłowanie przybrania tej świadomości w wiersze. O zasięgu bowiem poezji nie świadczą doskonałe i skończone artystycznie utwory najwybitniejszych poetów, ale właśnie owa armia maluczkich, powołanych, lecz nie wybranych do ołtarza słowa, epigonów i naśladowców wielkiej sztuki. Z tego też względu debiuty nie muszą wnosić nowych i potężnych wartości w wysoką kulturę poetycką naszego narodu, ale świadczyć mogą w sposób wymowny o tym, że świadomość siły zwyciężającej bezwład językowy wzrasta, a tym samym budzi nadzieje na szerszą poetyzację języka. Stosunek bowiem najlichszego nawet poety do języka jest twórczy, bo i jemu chodzi o to, „aby język giętki powiedział wszystko, co pomyśli głowa". Być może, że właśnie ten proces znienawidzonych debiutów wskazuje na początek zupełnie dodatniego zjawiska, na coraz szerszą świadomość poezji wśród mas.

Smutna prawda

Z tych kilku uwag wynika, że powstał już początek jakiejś długiej fali, ale oczywiście obserwacje te mogą być mylne, a poza tym nie wyjaśniają nam zupełnie, dlaczego nie interesujemy się poezją —dzisiaj, teraz, w obecnej chwili. Świadczą o tym małe nakłady poetów, wywołane przez niski popyt i to, że w bibliotekach i czytelniach nikt prawie nie żąda poezji do czytania. Niewątpliwe te fakty smutny rzucają cień na kulturę naszego narodu; między twórcami a publicznością istnieć musi przepaść albo nieporozumienie, względnie jedno i drugie razem.

Zdaję sobie sprawę z tego, że czytanie poezji, niewątpliwie trudniejszej formy artystycznej niż proza, musi być tylko jakimś procentem w stosunku do czytelnictwa w ogóle, ale gdyby istniała jakaś stała liczba określająca ten stosunek jako wykładnik kultury narodowej, musiałbym popaść w wątpliwość, czy istnieje w kulturze polskiej odpowiednio wysoki stopień humanizmu i estetyki. Już sam rynek księgarski wywołać musi głęboki pesymizm, bo okazuje się, że większość nakładu pochłania oświata, ale szkoła pochłania książkę przez przymus posiadania jej do nauki. Skoro jednak oświata ma takie zapotrzebowanie na słowo w druku i skoro wychowuje między innymi na poezji, to czemu jej wychowankowie nie są już do śmierci konsumentami nowych utworów poetyckich? Pytanie tragiczne.

Kształcenie szkolne i jego skutki

Uświadamiam to sobie dobrze, że trudności materialne kładą zawsze tamę

najszlachetniejszym popędom i dążeniom, ale poza tym przykrym aspektem naszego życia muszą istnieć również inne powody, zakryte zrazu dla wzroku, ale odsłaniające później głębie o wiele ważniejsze, niż się to na początku myślało.

Sądzę, że szkoła nie rozwiązuje szczęśliwie i skutecznie problemu wychowania językowego na literaturze, choć usiłuje przecież podołać swoim zadaniom w tym względzie i nawet nie małą wykazuje ruchliwość. Po pierwsze zadanie polonisty przerasta często jego możliwości, nauczyć poprawnego języka to nie jest rzecz tak trudna, ale dać w skutkach wychowawczych kulturę językową to już sprawa inna i znacznie trudniejsza do osiągnięcia. Poezja jest na przykład trudniejsza do rozumienia niż proza. Pisząc o „rozumieniu" nie mam na myśli popularnego znaczenia tego słowa. Można tu mówić jedynie o pewnym rozumieniu artystycznym tak odrębnym od rozumienia zwykłego, jak sens artystyczny od sensu logicznego. Trzeba po prostu poezję nie tylko rozumieć, ale i odczuwać, odczuwać te jej aspekty, które nie dadzą się tak łatwo ująć w wyjaśniające słowa komentatora. A właśnie wiedza polonistyczna nauczycieli nie pozwala im na zbliżenie utworu poetyckiego do duszy młodzieży. Aby to stało się możliwe, trzeba posiadać wiadomości teoretyczne o literaturze i poza tym trzeba samemu rozumieć ją i odczuwać. Brak właśnie teoretycznego przygotowania i dobrej teoretycznej literatury zmusza nauczyciela do improwizowania analizy literackiej, co nie daje gwarancji, że działalność wychowawcza na poezji i jej rozumienie ma stałe podstawy i konsekwentnie jest realizowana. Poza tym bardzo wielu nauczycieli popada w rutynę i stosuje „znormalizowany" niejako rozbiór literacki, przeciw któremu niejednokrotnie już występowali ludzie pióra i ludzie nauki. To było po pierwsze, a co po drugie i ewentualnie trzecie. Z obserwacji życia szkolnego wiem, że wychowankowie nauczycieli poetów nie zrywają po ukończeniu gimnazjum z tą piękną sztuką słowa. Tak jaskrawo uderzyło mnie to w oczy niedawno, gdy pracując w Chełmie Lubelskim widziałem z bliska wyniki pracy polonistycznej Kazimierza A. Jaworskiego, redaktora „Kameny". Widocznie kulturalny polonista potrafi między utworem literackim a jego konsumentem wprowadzić nieuchwytne kontakty poznawcze i kontemplacyjne, zupełnie różne od upartej analizy dzieła i rozmieniania go na drobne fakty i fakciki. Te sprawy rozumiał dobrze Kaden-Bandrowski, kiedy przed kilku laty walczył o zbliżenie pisarzy do młodzieży, a nawet domagał się dla nich katedr i wykładów. Istotnie pomiędzy utworem a jego czytelnikiem musi nastąpić jakiś kontakt metafizyczny, który często sprowadza bez specjalnych zabiegów właśnie oryginalny twórca przez osobiste czytanie utworów lub własny komentarz.

Nie znaczy to, że należy stanąć na zupełnie krańcowym stanowisku i negować wartość pracy polonistycznej zwykłego nauczyciela. Bardzo jestem da-



Tadeusz Trębacz
Dziewczynka



Julia Kwapiszewska
Portret p. K.



Józef Kowner
Buty

leki od podobnego rozstrzygnięcia sprawy. Było by to zupełnie powierzchowne, a więc i zupełnie błędne ujęcie problemu. Polonista bowiem znajduje się w takim samym położeniu, jak lekarz chorób wewnętrznych. Ponieważ ich praca nie jest widoczna natychmiast, więc ludzie wątpią, czy jest tam jakaś praca, a co ważniejsze, czy są wyniki. Taki chirurg na przykład, gdy obetnie nogę choremu i szczęśliwie uniknie gangreny, wywołuje nawet u samego delikwenta sporą porcję zachwytu. Co innego natomiast przeżywa internista i nauczyciel literatury, obaj przenikają do wnętrza najróżniejszymi drogami, a skutki ich działania zakrywa starannie zewnętrzna powłoka człowieka. Są też one widoczne raczej w samopoczuciu jednostki, a ze tego nie widać, więc brak zewnętrznego efektu bywa przedmiotem dowcipów i kpin, jakby nikt nie zdawał sobie sprawy z trudności leczenia wewnętrznego i kształcenia duchowego człowieka. Sytuację utrudnia jeszcze czas — internista i nauczyciel muszą długo czekać na skutki swej działalności, co nie tylko podważa zaufanie, ale pozwala również przeciwdziałać czynnikom niszczycielskim. Tych zaś czynników niestety nie brak ani w życiu, ani w szkole. I tutaj możemy już mówić, co jest po trzecie.

Mówiliśmy już o tym, że gimnazjum nie daje odpowiedniej podbudowy teoretycznej, a co za tym idzie, nie daje przygotowania do samodzielnej pracy i samodzielnego czytania poezji, dlatego też po wyjściu ze szkoły kontakt niedawnego ucznia z poezją nagle się urywa i rzadko kiedy daje się nawiązać z powrotem

Pisma literackie i najnowsza poezja zupełnie innym przemawiają językiem, niż nauczyciel w szkole. Od razu więc powstaje przepaść, możliwa do przebycia większym i samodzielnym już wysiłkiem. Tę przepaść przechodzą więc tylko poeci i miłośnicy poezji, którzy nie zrażają się wielkimi trudnościami i potrafią przezwyciężyć nowy i nieznany wyraz artystyczny, nową formę tej samej sztuki. A jeśli w dodatku wychowanek gimnazjum nie doszedł ze swym nauczycielem do czasów dzisiejszych, ani na jeden moment nie był zdolny do rozumienia, a nawet do czytania poezji współczesnej.

Wynika więc z tego, że jedynie poeci i miłośnicy poezji przełamują trudności i po wyjściu ze szkoły wchodzą w świat literatury nie rzadko z wielkim entuzjazmem, ale oni nie tyle są konsumentami, ile właśnie owymi debiutantami, którzy denerwują krytyków i recenzentów swą epidemiczną żywotnością.

Naturalna niedostępność poezji

W rozważaniach dotychczasowych braliśmy pod uwagę zjawiska, leżące poza poezją i od niej zupełnie niezależne, ale zapytać należy, czy w samej twórczości poetyckiej nie istnieją powody do tego, aby ogół unikał jej z daleka, jako twierdzy nie do zdobycia przez średni poziom kultury. Wszelkie bowiem zainteresowanie jest przeżyciem psychicznym i, aby ono powstało, poezja musi wywoływać to zainteresowanie samorzutnie przez swoją wartość artystyczną i przez swój potencjał emocjonalny, a właśnie istota poezji jest niezmiernie trudna do uchwycenia i jeśli zapytać nawet doskonałego poetę lub teoretyka literatury, czym ona jest, otrzymamy niejasną odpowiedź, która nie rozstrzygnie naszych wątpliwości. Oczywiście nie ma w tym artykule miejsca na to, aby wyjaśnić te kwestie wyczerpująco, niemniej, choć ogólnie musimy spraw tych dotknąć bezwzględnie, uświadomić sobie bowiem musimy, co stanowi najistotniejszy element poetyckiego spojrzenia na świat. Każdy człowiek zwykle doskonale rozumie powieść, ponieważ referuje ona i przedstawia rzeczy przystępne językiem zbliżonym do naszej mowy codziennej. W powieści chodzi przede wszystkim o rozumienie ludzi i ich życia, a odczuwanie wynika dopiero później, jako skutek rozumienia. Poezja natomiast jest przetworzeniem pewnych spojrzeń i odczuć, a poza tym pragnie to swoje przetworzenie i tak już nieuchwytnych czasami przeżyć oddać w sposób możliwie bliski pewnej prawdzie. Wprowadza dlatego element formy jako siłę twórczą i stara się powiedzieć inaczej niż zwykle, aby w ten sposób i siebie i czytelnika przybliżyć przez przeżycie psychiczne do istoty zjawiska. Metafora lub dziwny czasem zespół słów w specjalnym układzie są wytworami sztucznymi, ale spełniają taką samą rolę, jak na przykład sinusoida w akustyce. I tu zjawisko falowania powietrza musi być przedstawione w sposób sztuczny, aby stało się łatwiejsze do pojęcia. Za pomocą tej sinusoidy potrafimy wyjaśnić zjawisko falowania, a nawet na jej kształcie możemy dokonać zupełnie ścisłych obliczeń matematycznych, chociaż owa linia pagórkowata nie jest wiernym wykresem falowania, ponieważ odbywa się ono w jednej płaszczyźnie i rozchodzi się czołem fali we wszystkich kierunkach. Ta jednak fikcja oddaje w pewnym sensie samo zjawisko i pozwala na dotarcie do prawdy. Taką samą funkcję sprawuje fikcja w poezji, jest elementem zastępczym, który ułatwia nam zbliżenie do tych właśnie prawd, jakie ta dziedzina twórczości reprezentuje, wywołując odpowiednie nastroje i atmosferę bliską samej istocie poezji, ale nie równoznaczną z tą istotą. Zdarza się też, że laicy i pyszniący się ignorancją poezji bierze za nią wyraz zewnętrzny lub formy zastępcze, atakując rzekomą głupkowatość całego zjawiska, nie rozumie zaś ta ignorancja, że popełnia taki sam błąd, jakby ktoś inny brał za falowanie wykres sinusoidy.

Rzecz oczywiście jasna, że rozumienie fikcji i nonsensu, jako czynników twórczych i kształtujących przeżycia psychiczne, nie jest dostępne dla każdego człowieka i dlatego też poezja w znacznej mierze oparta na tych elementach sama w sobie posiada moment utrudniający jej poznanie, co z kolei rzeczy wywołuje niechęć do poezji i małe zainteresowanie jej przejawami. Jeśli jednak można człowieka nauczyć rozumienia sinusoidy, to i można nauczyć rozumienia fikcji poetyckiej, potrzebny jest oczywiście do tego wysiłek, konieczność przezwyciężenia samego siebie, ale niestety lenistwo umysłowe jest chorobą bardziej powszechną, niż gruźlica i trudno tak nagle przejść z postawy oczekiwania do postawy czynnej. Winą tego jest również po części niewłaściwy bieg usiłowań zapoznawczych z poezją, nie uczyniono bowiem prawie nic, aby utwory poetyckie szły co do swej trudności równolegle z fazami rozwoju psychicznego człowieka. Wiadomo przecież, że tak zwany realizm psychologiczny jest raczej wynikiem późniejszego rozwoju, że właśnie dziecko nie zawsze jest w zgodzie z logiką dorosłych, powodując się ruchliwą i wielką fantazją. Poeta ma właśnie coś wspólnego z dzieckiem, nawet samo rymowanie jest zjawiskiem pierwotnym i infantylistycznym. Dziecko chętnie rymuje ze sobą słowa nawet bez wyraźnego związku, widać to zwłaszcza w wyzwiskach tego typu: „Jurek — pętelka i sznurek"; „malarz — co ukradł, to znalazł" itp. Można się spodziewać, że dziecko łatwiej pojmie ów element fikcji i dlatego odpowiadać mu musi bardziej taki wiersz, który nie tak łatwo da się wytłumaczyć sensem logicznym, ale wtedy dajemy właśnie dziecku wbrew pewnej rzeczywistości psychologicznej wiersz realistyczny, wierszowaną zaledwie prozę, a gdy podrośnie i interesuje się światem realnym, podajemy mu do strawienia utwory trudne już, w których stopień sensu artystycznego z pominięciem logicznego rozsądku jest coraz większy.

Sprawy te rozumie już szkoła powszechna i nie unika w swych książkach wierszy z zupełnie silnym elementem fikcji, a więc umie wprowadzić dziecko na drogę prawdziwej poezji.

Z chwilą pominięcia tych tak zasadniczych spraw dla zainteresowania poezją ludzi dorosłych w odpowiednim etapie ich rozwoju, rośnie z każdym rokiem coraz większe nieporozumienie, nie pozwala ono na przejście tej przepaści, która w sposób wyraźny leży między autorem a czytelnikiem. I w ten sposób otrzymujemy tumanów nad przepaścią. Oczywiście ta przepaść jest tylko głębią ducha.

Błąd awangardy

Już zwykłe nawet zdania zawierają pewien stopień fikcji, syntaktyczny bowiem i gramatyczny układ słów nie oddaje nigdy dokładnie myśli i zostawia zawsze pewne niedomówienie dla domysłu czytelnika. Język polski jest jednak w tym położeniu, że posiada dla wyrażenia wszystkich odcieni myśli bogatą gramatykę i skomplikowaną dość składnię. Stąd też rodzi się konieczność, że dla wyrażenia wszystkich myśli musimy starać się o dokładność przez odpowiedni dobór słów w składni i gramatyce. Oczywiście fikcja w splocie językowym a fikcja w sensie psychologicznym, jako środek zbliżenia do prawdy, to są inne zupełnie zjawiska, niemniej ten element w samej składni pełni pewne funkcje artystyczne i jest zupełnie świadomie wykorzystywany przez

poetów w twórczości oryginalnej, ale jednocześnie charakter pewnego języka z góry determinuje, czy ten element jest silniejszy, czy słabszy. W innym na przykład położeniu niż język polski jest język angielski i francuski. W tych językach nastąpiło radykalne uproszczenie form gramatycznych zwłaszcza co do ilości, mimo to języki te nie straciły możliwości dokładnego wypowiedzenia myśli człowieka, ale jednocześnie zwiększyły stopień niedomówienia w składni i tym samym stopień domysłu, koniecznego dla zrozumienia sensu zdania. W ten sposób wytworzył się w świadomości językowej Francuzów i Anglików element czynnej do tekstu postawy, dorabiają do niego myśl i ten domysł jest wybitnie siłą twórczą. Dla Polaka ten stosunek słowa do myśli wywołuje na razie pewne trudności, ponieważ przywykł do zupełnie innego systemu mowy pod względem syntaktyczno-gramatycznym. Na tym jednak charakterze mowy zachodniej w zupełnie naturalny sposób wyrosła awangarda poetycka, operująca skrótami w składni i w układzie logicznym wiersza. Stwarza tym samym warunki na domysł naturalny w językach zachodnio-europejskich, tyle tylko, że pełni on teraz funkcje estetyczne.

Awangarda więc polska jest w zupełnej sprzeczności z duchem naszego języka. Wymaga on bogactwa form zgodnie z własnym charakterem syntaktycznym i gramatycznym, a nie prostoty i skrótów, bo te sposoby są nam zupełnie obce. Że istnieje nieporozumienie pomiędzy awangardą a językiem polskim, niech świadczy o tym ostatni tom poezji Brzękowskiego. Mimo wysiłków nie mógł on wypowiedzieć się swobodnie w języku polskim, ale pełne urzeczywistnienie uzyskał po francusku w „Spectacle metalique".

Nieporozumienie awangardy jest również tym czynnikiem, który zniechęca do poezji i powoduje trudności w jej rozumieniu, a pozbawia język polski właściwego piękna, realizującego się jedynie w bogactwie przez komplikacje form.

Wnioski

W ten sposób wymieniliśmy już główne powody, dla których zainteresowanie poezją jest słabe. Oczywiście pewną rolę gra tutaj i charakter psychiczny narodu. W Japonii na pewno nikt nie miał by powodów do wypowiadania tych wszystkich myśli, do których zmuszony był autor niniejszego artykułu. Jeśli więc nie ma jakiegoś ruchu spontanicznego, trzeba sprawy słuszne organizować i rozwijać sztucznie. To samo trzeba uczynić odnośnie naszego zagadnienia. Wskazywać na tym miejscu środki zaradcze trud to już za wielki, ale niemniej ujawnienie źródeł niechęci pozwala powiedzieć: usuńmy te źródła i na ich miejsce postawmy pozytywną pracę i wytrwały czyn.

WIELKA NOC

Rainer Maria Rilke

Często, zdziwiony, stałem przy wczoraj zaczętym oknie,
Stałem i podziwiałem cię, nocy. Jeszcze mi nowe
Miasto było jak gdyby wzbronione i nieumówiony krajobraz
Mroczniał, jak gdyby mnie wcale nie było. Nie utrudziły się jeszcze
Bliskie przedmioty, by dać się mi poznać. Obok latarni
Wzwyż się tłoczyła ulica: widziałem, że była obca.
Naprzeciw pokój, gotowy współodczuć, stał w świetle lampy.
Już udzielałem się; odczuli to, zamknęli okiennice.
Stałem. A potem dziecko płakało. Wiedziałem o matkach
W domach naokół i, co jest w ich mocy, wiedziałem
Zarazem płaczu wszelkiego przyczynę niepocieszoną.
Lub głos jakiś śpiewać poczynał i z oczekiwania podawał
Jakiś ułamek, lub w dole zakaszlał starzec
Kaszlem pełnym wyrzutu, jakby miał prawo swym ciałem
Wypomnieć światu łagodę. Potem wybiła godzina.
Lecz liczyć zacząłem za późno, przebrzmiała, minęła.
Jak chłopiec, obcy, gdy go się wreszcie przywoła,
Lecz ani piłki nie chwyta i ani jednej gry nie zna,
Którymi inni tak łatwo bawią się jego rówieśni,
Stoi i patrzy gdzie indziej, gdzie? — stałem i nagle,
Że to ty ze mną przestajesz i bawisz się ze mną, dorosła
Nocy, pojąłem i zdumiałem się tobie. Gdzie wieże
Piętrzyły się gniewem, gdzie odwróconego losu
Miasto obeszło mnie wkoło i nieodgadnione góry
Wrogie mi trwały, i w kręgu, co się przybliżył,
Głodna obcość obwiodła blask przypadkowy i lśnienie
Mych uczuć: nie było w tym, ty wysoka,
Hańby dla ciebie, że ty mnie znałaś. Twój oddech
Przewiał nade mną; twój na surową dal rozdzielony
Uśmiech wszedł we mnie.

tłum. *Mieczysław Jastrun*

O TEATROLOGIĘ DLA POLSKIEJ SCENY

Jerzy Ronard Bujański

Rozważania powyższe osnute są na tle przygotowanej do druku książki: „Autor, aktor i reżyser". Książka ta będzie syntetycznym rzutem wielu aktualnych zagadnień współczesnej sceny: od dramaturgii poprzez aktorstwo aż do tez reżyserskich włącznie. Tłem zaś tych rozważań będzie w dużej mierze przedhitlerowski teatr niemiecki. Książka poprzedzona jest wstępem, będącym niejako rachunkiem sumienia. Ze wstępu tego drukujemy poniżej fragment.



Scena z „Nocy listopadowej" w Teatrze Polskim w Łodzi

1.

Już w okresie swoich prac teatralnych w Warszawie starałem się wywalczyć celową rozbudowę teatrologii, która — miejmy tę odwagę, przyznać się, — należy do najskromniejszych bodaj w Europie. Znikomej ilości pozycyj w tej dziedzinie, braku rzetelnego pisma teatralnego (!), no i wreszcie żadnych, albo prawie żadnych widoków na poprawę, niczym nie da się usprawiedliwić. Jest to jedno z tych karygodnych zaniedbań kulturalnych, które nam — narodowi o tak wyraźnym instynkcie teatralnym — wielką wyrządza krzywdę. Mając spore sumy na prowadzenie teatrów nie możemy się zdobyć na sfinansowanie kilku chociaż by rocznie wydawnictw poświęconych scenie, a kulturę teatralną szerzy się nie tylko subwencjonowaniem teatrów, krzewi się ją także i stwarzaniem podstaw dla wiedzy o reżyserze, autorze, aktorze i publiczności. Ta wiedza jest nieodzownym współczynnikiem owocnej atmosfery teatralnej. To prosie, ale — niestety u nas się tego nie robi.

Nie tak dawno, wykładając w „Państwowej Szkole Dramatycznej" w Warszawie, widziałem, jak studiujący na każdym niemal kroku napotykają na brak literatury fachowej w polskim języku. Starałem się zwalczyć tę wielce szkodliwą anormalność przez utworzenie „Komitetu teatrologicznego", który mógł by konsekwentną akcją wydawniczą stworzyć podstawy dla polskiej nauki o teatrze. Ale niestety. Dziś wiem aż nazbyt dobrze, że nie ma co liczyć w tej dziedzinie na jakąkolwiek akcję zbiorową, popartą funduszami społecznymi. Dziś wiem, że cośkolwiek zdziałać tu może tylko i jedynie prywatna inicjatywa. Dlatego chcę przez wydanie swego studium przyczynić się do przełamania tego katastrofalnego „bezrobocia teatrologicznego" u nas. Skromnie, bo skromnie, ale zawsze dobrowolnie i bez niczyjej pomocy.

2.

Tak zwana nieaktualność spraw teatralnych jest u nas przeważnie wykrętem i parawanikiem niedbalstwa. Nigdy nie zgodzę się na to, by fakty teatralne, nawet bardzo błahe, nie wymagały pewnego rodzaju naświetlenia, czy omówienia. Przecież te nawet najdrobniejsze wydarzenia dnia codziennego w teatrze mają swój horyzont, swoje tło i perspektywę, swoje wreszcie — dobre czy złe konsekwencje. W tych to właśnie drobnych może, często niepozornych faktach czy fakcikach, czai się geneza groźnych, a nawet poważnych wstrząsów, chorób czy katastrof. Życie bowiem teatralne nie składa się tylko — z premier. Jedynym dotychczas refleksem życia teatralnego to głupawe zazwyczaj i nieudatne komunikaty „kierownictw literackich" i... kursujące po kawiarniach przy „pół-czarnej" plotki i ploteczki zakulisowe. To właściwie wszystko. Reszta — jest milczeniem. Dyskusyj teatralnych właściwie nie notujemy. Tak więc nie zwykliśmy omawiać i badać życia teatralnego, nie segregujemy i nie naświetlamy wydarzeń teatralnych, „teatralia" traktowane są właściwie we wszystkich prawie dziennikach po macoszemu, wszystko — byle jakoś to szło...

Dlaczego poruszam te sprawy w finale wstępu? Przecież to i niepolitycznie i niedyplomatycznie tak czarno nastrajać czytelnika i uderzać w taki zgorzkniały ton...

Być może. Zgadzam się. Ale słowa te powtarzam, stały się dla mnie jakąś konieczną klamrą, uzupełnieniem pewnych założeń, czy myśli. Może i dobitniej, jaśniej te słowa powyższe wytłumaczą moje stanowisko, a raczej może moje zapatrywanie na aktualność zagadnień teatralnych, które rozumiem inaczej, niż to się u nas praktykuje. Sądzę bowiem, że aktualność faktów teatralnych, wydarzeń scenicznych nie mieści się nigdy właściwie bez reszty w skończonym dniu, czy sezonie, ale ze sens zasadniczy tych spraw, sens tej wielkiej, płynnej rzeki, którą zwiemy teatrem, pomnaża się, wzbogaca z dniem każdym — i że odczytywanie, śledzenie i naświetlanie tych faktów — powinno być biblią ludzi sceny. Bo to uczy i doświadcza. Kształci i stwarza bazę celową dla syntez, które powinny być drogowskazami czynów i żebrami montaży teatralnych. U nas — niestety — jest wprost przeciwnie. Polityka teatralna jest polityką „jednodniówek" — czy „jedno-premier". Od premiery do premiery płynie wątpliwej wartości łódź spraw i zagadnień scenicznych — a portu nigdzie, nigdzie doprawdy nie widać... Tragiczne, takie swojskie, takie nasze — „z dnia na dzień" — z fali na falę...

Źle właśnie rozumiana aktualność zagadnień teatralnych, jest też tu zasadniczym współczynnikiem bezplanowości i chaotyczności działań w dziedzinie teatru. Aktualnym — jest u nas tylko artykuł czy felieton o premierze, o sztuce, która idzie właśnie, która jest w repertuarze, aktualną będzie tylko ta książka, która potrąca o jakąś plotkę czy legendę (ale koniecznie z sensacyjnym tłem).

I dlatego sądzę, że studium moje — poprzez fakty i zdarzenia potrąca o ten zasadniczy nurt życia teatralnego, który jest nieprzemijający. I w tym upatruję właściwy sens i rzeczywistą aktualność wszelkich rozmyślań i opracowań ruchu scenicznego.

Tak pojęta aktualność w działaniu teatru pomnaża wydarzenia i fakty, akcentując w chaosie rzekomym istotny rytm; i tak pojęta aktualność obnaża horyzont teatralny, stwarzając perspektywy owocnej syntezy.

Tędy — moim zdaniem — prowadzi niezawodna droga prawdziwego teatru, która pierwszą doczesność jego codziennych spraw ukazuje w świetle rozważań, otwierających bramy jutra. Tak ujarzmia się dzień teatralny, przedłużając jego cień, tak utrwala się przeżycia sceniczne, zachowuje się ślady kultury teatru.

3.

Rzecz jasna — noty powyższe — nie mieszczą się w ramach mojego studium, ani go nie tłumaczą. Uwagi te — są jakby marginesem moralnym tej książki. To leit-motiv moich wszelkich rozmyślań o teatrze; cień, który przesłania piękno zrywów teatralnych u nas. Wyjątkowość tych zrywów świadczy najlepiej o tym, że jesteśmy ludźmi teatru od święta, że lubimy tu (podobnie jak i na scenie publicznej) tylko „wielkie rzeczy", szarą, a przecież jakże konieczną robotę odkładając do jutra. Dlatego to nam tak brak w dziedzinie teatru — tradycji i kulturalnej pracy na temat tej sztuki i jego rzemiosła. Mamy w dorobku wielkich aktorów i kilku reżyserów, kilku głębokich autorów — a brak nam — wyrównanego poziomu w pracy ciągłej, nieprzerwanej z pokolenia w pokolenie. A tej systematyczności w robocie — jakże właśnie potrzeba w chybotliwej i zmiennej, poddanej różnym przemożnym fluidom pracy teatralnej.

Pora kończyć, aczkolwiek dotknąłem dopiero tematu. Omówienie bardziej wyczerpujące znajdzie się dopiero w studium.

I dlatego to — na marginesie tego studium — znalazły się uwagi, które nie mając tematycznej więzi bezpośredniej z całością, są uzupełnieniem — moim zdaniem — zawsze i to zawsze aktualnym, gdy się u nas o teatrze mówi.

PIEŚŃ BOJOWCÓW

Eugeniusz Ajnenkiel

Polskie wystąpienia zbrojne w wiekowej walce o niepodległość miały zawsze swych pieśniarzy przekazujących pokoleniom wieść o sławie bohaterskich zmagań. Znane są bogate i ciekawe zbiory pieśni i utworów poetyckich, tak z Legionów Dąbrowskiego, jak i powstań narodowych roku 1831 i 1863. Opracowywane są, w piękno wiersza włożone, odblaski walk i przeżyć Legionów Piłsudskiego. Ugorem leży tylko szmat czasu, między rokiem 1863 a 1914, szczególniej lata rewolucji i czynu zbrojnego bojowców Polskiej Partii Socjalistycznej. Oni to w tym okresie podnoszą sztandar czynnej i zbrojnej walki z caratem, który znów przed sobą ujrzał zmorę nowego, zbrojnego powstania Polski. Jest to w historii naszej ważna chwila, bo, jak podkreśla Józef Piłsudski, jest „główną zasługą Organizacji Bojowej — uratowanie idei zbrojnego ruchu, która była by zabita, zniszczona bez walki Organizacji Bojowej". Z podziemi, w którą wtłoczona była działalność organizacji, wszedł do życia publicznego nowy romantyzm czynów, wyszedł on od ludzi prostych, twardymi warunkami z życiem związanych, a których umiłowanie idei wprowadziło na bohaterski szlak walki. W dalekiej i bliskiej przeszłości naszej znajdujemy przepiękne i nie mające nigdzie równych sobie postacie ofiarnych bojowników. Ci z okresu rewolucyjnego są tym bardziej godni chwały, bo za nimi nie stał nikt, prócz współtowarzyszów. W ich ręce złożony został „złoty sen, sen tylu pokoleń młodzieży, sen o rycerskiej szpadzie". Szli do walki, jak gladiatorzy, o śmierć lub wolność... Mogli powtarzać za F. Faleńskim:

Choć, nim wolność z grobu wstanie,
Nam się stopy w grób poślizną, —
Ci, co wierzą w zmartwychwstanie,
Pozdrawiają cię, Ojczyzno!

Im to za wielkość idei i poświęcen przyrzekał Żeromski, że „poezja polska nie opuści cię, nie zdradzi i nie znieważy, żołnierzu". Nielicznych piewców mieli oni jednak wśród poetów, najczęściej czyny ich opisywała bezimienna poezja ludowa. Ona też jest twórczynią licznych pieśni walki. Pieśń rewolucyjno-robotnicza jest pieśnią męską, odzwierciadlającą momenty chwili, zaprawną hukiem bomb i szczelnym trzaskiem strzałów brauningowych.

Tej bezimiennej piosence bojowej okresu rewolucyjnego, od kilku lat poświęcam czas na badania i poszukiwania. Z nią pokrótce chcę zapoznać czytelnika, cytując wyjątki z piosenek. Melodie ich to przeważnie melodie wojskowych piosenek z okresu powstań. Oto pierwsza, bijąca radosną wiarą w P. P. S., która organizację bojową do życia powołała. Piosenka śpiewana na melodię „Mazurka Dąbrowskiego":

Polska Partia nie zginęła,
Póki my żyjemy:
Jak browningów dobędziemy,
Cudów dokażemy.

Marsz, marsz! robotniku,
Póki zdrowie sprzyja,
Albo wygramy, albo przegramy,
Lecz się nie poddamy!

Polska Partia nie zginęła,
I zginąć nie może:
A od czegóż silne dłonie
I bomba w komorze!

Marsz, marsz i t. d.

W Polskiej Partii same zuchy,
Jakich w świecie mało,
Z kogo zechcą, zrobią trupa,
Sami wyjdą cało!

Marsz, marsz i t. d.

Pieśń bojowców Warszawy oparta jest na motywach i melodii „Marszu Żuławów" z roku 1863. Buńczuczną jest ona jak każda pieśń żołnierska.

Lecz gdy w bój staniem — to nie na żarty:
Każdy swój browning do ręki bierze —
Walcząc z policją, w boju otwartym
Nie ustępuje starym żołnierzom.

Pamięta żandarm, co browning znaczy
Nie raz w nim z niego ugrzęzła kula!
Pamięta sfora szpicli — łapaczy
Jak to bojowiec warszawski hula!

Nie nam się wdawać w zawiłe kwestie —
Nie nasze rady dla dyplomatów.
Trzeba amnestii — pisać amnestie.
Hukiem browningów — krwią naszych katów!

Motyw krwi, związanej nieodłącznie z walką, przewija się stale w piosenkach. Weźmy oto inną, niewiadomo gdzie zrodzoną, groźną i ponurą pieśń bojowców, śpiewaną na nutę „Czerwonego Sztandaru":

„W środkach przebierać nie możemy —
Bomba i browning — nasza broń!
My wszystkim łotrom śmierć niesiemy,
To jest nasz cel i dążmy doń!
To jest nasz cel i dążmy doń!

Dalej więc, dalej więc, kto nie tchórz
Niech czynem sprawę naszą wsławi —
Cisza ta, to rzecz zła, inaczej nóż!
Gnuśności zrzuć z siebie kurz...
Niechaj się znów jakiś łotr zakrwawi
A kto to sprawi? kto nie tchórz!
A kto to sprawi? kto nie tchórz!

Popularna piosenka „Jak to na wojence ładnie" znalazła też swój wyraz w pieśniach rewolucyjnych, w jednej z nich bojowiec wykpiwa swe wystąpienia uliczne i związane z tym przykrości:

A kto chce rozkoszy użyć —
W rewolucji idzie służyć!
W rewolucji jak to ładnie,
Kiedy patrol na cię spadnie —
A „przykładów" nie żałuje,
Jeszcze koński cię stratuje!

W drugiej zaś piosence na tę nutę bojowiec śpiewał:

Jak to w naszej Polsce ładnie
Kiedy szpicel trupem padnie,
Bojowcy go nie żałują
Wnet po innych maszerują.

Trąbka dudni: tra ta ta ta
Niema ojca ani brata,
Ni żadnego przyjaciela —
Jeno cara — wieszatiela!

Przeciwko niemu i jego sile zbrojnej walka wre na ulicach — jaki jej wynik? Kto w walce pyta? Bojowiec w innej piosence na to pytanie tak odpowiada:

Toć wszystko kończy się na świecie:
I z nami będzie: tak lub tak!
Toć kiedyś carat burza zmiecie —
Lub nas powieszą gdzie na hak!

Świadomość, że w walce może zginąć, że aresztowany po mękach badań skazanym może być na śmierć — nie osłabia czynu bojowca, który oświadcza przeciwnikowi:

Stój carze, stój!
Zemsty się bój!
Póki jeden w Pepeesie
To zawrzemy bój.

Póki jedno serce bije,
Póki jeden „efer" [1] żyje
Póki jeden jest w obozie
— To zawrzemy bój!

Nie mniejszą wiarą tchną słowa pruszkowskich towarzyszy — którym po aresztowaniach oświadczono, że P. P. S.-u już niema — że zginęła:

Lecz się mylicie! P. P. S. nie zginie
Jak nie zginie jej Wydział Bojowy,
Jej bohaterstwo słynęło i słynie
I kruszyć będzie niewoli okowy!

Bojowcy z płockiego okręgu żarliwą wiarę okazują ideałom wolności, naj-

[1] „Efer" członek Frakcji Rewolucyjnej P. P. S. powstałej po rozłamie w listopadzie 1906 roku.

później też z placu walki ustąpili, ich pieśń to hymn na cześć buntu:

„Niech żyje buntu groza i pożoga,
Niech żyje prawy bohaterski bój!
Hej! już nie długo na okopach wroga
Zatkniemy sztandar bohaterski swój.

Do walki bracia! Nie znajmy co trwoga,
Chociaż nas czeka wielkiej pracy znój.
Niech żyje walki groza i pożoga,
Niech żyje prawy, bohaterski bój!

O wolność, o lepszy byt, o prawdę, o przyszłość narodu walczący bojowiec przenosi swą pieśń na różne krańce Królestwa Polskiego, przerzuca je rodakom poza kordonami granicznymi. Takim manifestem rzucają w lud bojowcy Lublina:

Hej! towarzysze! ponad nami
Czerwony Sztandar lśni,
Robotniczymi szyty łzami
Barwiony w ludu krwi!

Ten sztandar nasz —
To ludu straż
Wolności świętej zdrój!...
Z fabryk i chat
Lud wiedzie w świat
Na bój!... na bój!... na bój!...

Rwą się kajdany, jarzmo pęka
Gdzie nasza idzie moc!...
Pochodnią prawdy nasza ręka
W odwieczną niesie noc...

Ten sztandar nasz i t. d.

Wśród piosenek robotniczych nie brak i takich, które reprezentują studentów stojących ramię przy ramieniu z ludem walczącym o lepsze Jutro. — Oto bojowa pieśń studenta z roku 1905:

Spiskowy stan niech nam żyje!
Niech żyje nam spiskowy stan!
Bo choć przed nami światło dzienne kryje
Toć dla ojczyzny trud ten jest nam dan!

Wszak synowi podziemnych spisku światów
Każdy chętnie poda swą dłoń
Niech żyje nam! Niech żyje nam!
Spiskowy stan!

Nie dla nas spory, trwogi i zawody,
Spokojnie kuje nasz stalowy młot!
W podziemiach wznosząc, hen do słońca wschody
Każdy z uśmiechem daje krew i pot!

Wszak synowi i t. d.

Wśród rozlicznych szeregów bojowych wysuwają się na czoło bojowcy Łodzi — znani ze swej brawury i poza obrębem miasta. Znany i słynny zamach na pociąg pod Rogowem, dokonany przez łódzkich bojowców, pozostawił w piosence ślad trwały — w słowach „Marsza z pod Rogowa":

Dalej towarzysze, jazda do Rogowa!
Dalej towarzyszu! — spiesz się, spiesz!
Bo tam w Rogowie flota jest gotowa,
Dalej towarzyszu, bierz ją bierz!

Stacja Rogów to przystanek, trach! trach! trach!
Najpierw bomba potem bronek [1]): bach! bach! bach!

A więc towarzysze, dalej że do broni!
Bo tam dużą flotę car nam śle —
Niech każdy brauning trzyma w swej dłoni:
W wagonach pełno żołduków jest!

Tylko razem towarzysze, nie traćmy ducha!
Niechaj wagon się rozsypie i ogień bucha!

Stacja Skierniewice i przystanek Rogów,
Wjeżdża szybko pociąg, jest już tuż —
Pocztowy zamknięty, pełno wszędzie wrogów,
A na stacji żandarm, anioł - stróż!

A w tym bomba eksploduje: bach! bach! bach!
Wagon w drzazgi rozsypuje: trach! trach! trach!

Choć za nami węszą szpicle i kozaki,
Idziemy naprzód — za krokiem krok!
Nie są tam nam straszne te carskie żołdaki:
Ogniem bojowym rozświetlim mrok!

Dalej bracia bojownicy, browningi z za pas —
Gromić szpicli i policję, bo już nadszedł czas!

[1]) Bronek — brauning.

Rewolucja chyli się ku upadkowi. Więzienia przepełnione. Bojowcy zamknięci w czterech ścianach marzą o wolności, o nowej walce. Bojowcy w Łodzi, osadzeni, tęsknotę swą wyrażają w mocnych, trochę nieparlamentarnych, żołnierskich słowach:

„Chłopcy my twarde co się zowie:
Bałut, Chojen — zacna brać!
Modzelewskiego [1]) my więźniowie
Za kratami! k.... mać!

Lecz gdy trąbka z pod Rogowa
Znów do walki zacznie grać —
Wtedy bracie frajda nowa:
Będziem rąbać! k.... mać!"

Werwa, rozmach, rwąca się do życia młodość dusiła się w mrocznych celach. Za dążenie do wolności najlepsi i najszlachetniejsi bracia nasi płacili życiem, jako za wartość cenniejszą od życia. Odgłosem po Polsce szedł skrzyp szubienic. Galowe mundury oficerów rosyjskich zasiadających w sądach wojennych głosiły śmierć rewolucji i rewolucjonistom. W szare przedświty dnia szło na samotną śmierć wielu spośród młodych, pełnych ofiarności, nieustraszonych bojowników Jutra. Nie znali oni życia i tęsknili do niego z poza krat. W ostatnich chwilach, siedząc w przedśmiertnej celi, kreślili listy do najbliższych, do matek, żon, towarzyszy. I te „grypsy" więzienne przekazały nam ostatnie myśli tych żołnierzy, ich ostatnie tchnienia:

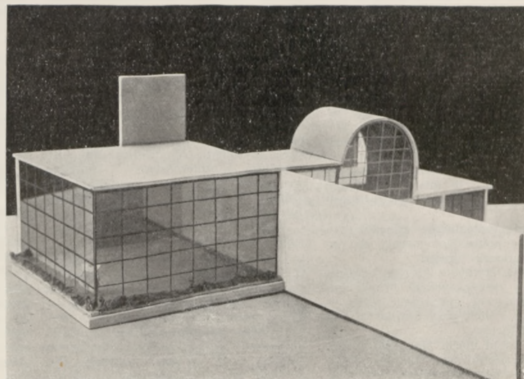
[1]) Naczelnik więzienia łódzkiego.

Tajemną więzień drogą, zwalane, pomięte
Doszły do moich oczu małe kartki święte,
Niby relikwie — prawie, że z tamtego świata.
Na skrawkach oskarżenia, drobnym pismem zbitem,
Kreślone pożegnania, w głuchą noc przed świtem,
Na moment przed złożeniem głowy w dłonie kata.
Z błędami słowa proste, choć zgłoski koszlawe
(Kładła je widać ręka ciężka do ołówka...)
— „Żal mi życia, bom młody... ale za sprawę
Idę spokojnie na stryk... Niech żyje bojówka!
I Polska Niepodległa" — Nazwisko... pseudonim...
Że wyrok wykonano — krótka wzmianka o nim
W rubryce wiadomości bieżących z Warszawy
W szeregu innych ofiar. — To różaniec krwawy...

W bezimiennych i nieznanych mogiłach leżą oni — nie sprawdziły się jeszcze prorocze słowa Żeromskiego, że poezja polska... „ujrzy i spamięta dnie twe i noce, mękę, wysiłek, trud i skon. Złoży ona twą głowę, stłuczoną sołdackimi kolbami, na wezgłowiu z najcudniejszych wierszy, które dla ciebie jednego wyjmie po latach z przepychu prastarej mowy. Nakryje twój nagi trup bez złotego pasa i czerwonego kontusza, gdy go lud łódzki z pospólnego dołu wielekroć wykopie, żeby mu dać sosnową trumnę..."

Lud łódzki swą miłość dla przeszłości wyraził i zlecenie Żeromskiego wykonał.

A poezja polska?...



Katarzyna Kobro
Projekt przedszkola

NA OSTRZU

Czesław Garda

Kiedy po anginie wróciłem do pracy, czynili wszystko, żeby mnie wykończyć zupełnie, żeby mnie się pozbyć. Skarżyli się na gorąco, choć była zima i temperatura w laboratorium nie przekraczała 18° C. Otwierali okno, puszczali pod dygestorium wentylator, sprawiali przeciąg.

Dopięli swego. Znowu się położyłem.

Kiedy ponownie wróciłem do pracy, byli wyraźnie zaskoczeni. Na papierze pokrywającym stolik, który służył mi do pisania notatek, ujrzałem wyrysowaną trupią czaszkę.

Zachowywałem się milcząco.

Odczekali dzień i znowu wrócili do wypróbowanej metody.

Tym razem, gdy skoki temperatury stawały się zbyt wielkie, przymykałem okno. Ale po pewnym czasie, ani się spostrzegłem i już strumień mroźnego powietrza uderzał mi w plecy. Przymykałem okno ponownie.

Bawili się ze mną. W ich oczach ośmieszałem się. Uśmiechali się i szeptem, ale tak głośnym, żebym słyszał, wypowiadali sentencję na temat wytrzymałości i siły. Klepali się po karkach, macali wzajemnie bicepsy. Byli zadowoleni.

Ja — miałem ciągle stany podgorączkowe, świdrujące bóle w stawach, bolesną, duszącą suchość w gardle. Byłem tak osłabiony, że przy powolnym nawet chodzie oblewałem się potem. Każdego rana, do wstania z łóżka dopingowała mnie rodzina, która dawała mi jak gdyby zastrzyki optymizmu i bagatelizowała chorobę. Mimo to, czułem się chwilami bliski podobnego stanu, w jakim się znajdował ów robotnik w hiszpańskich kopalniach rtęci, zatruty już tak dalece, że bywał do pracy odprowadzany i podtrzymywany przez członków rodziny.

Moich bliskich kochałem i rozumiałem. Żyli w obawie, co się stanie, jeśli mnie chorego wywalą z pracy. A szef już mi napomykał, że coś — panie dzieju — za długo...

Podciągałem się, utrzymywałem na nogach.

Zasięgałem też porad lekarzy. Laryngolog radził operować migdały. Interniści stanowczo nie zalecali.

Przyczaiłem się w sobie. Czekałem. Samotny.

Współtowarzysze laboratoryjni pamiętali o mnie. W miarę, jak tempo mojej pracy osłabło, oni manifestowali gorliwość.

— Praca uszlachetnia człowieka — zwracał się pouczająco starszy do pomocnika laboratoryjnego.

Pomocnik Izydor, z którego opieszałych usług zrezygnowałem prawie zupełnie, okazywał starszemu wiele uprzejmości. Mieli przy tym okazję do szeptów i żartów.

Izydor bawił nieraz starszego dowcipami. Ukontentowany słuchacz reagował krztuszącym śmiechem, a w punktach kulminacyjnych parskał: „o skur, o skur" — co było skrótem niedomówionego, a bardzo brzydkiego słowa.

Pracowali w zupełnej harmonii. Zapomnieli o wzajemnych urazach. Zwłaszcza o awanturze sprzed paru miesięcy, kiedy Izydor kilka dni chorował, starszy zaś, sporządzający robotniczą listę płacy, chciał chłopakowi wytrącić o jedną dniówkę za dużo. W kłótni o mało się nie pobili.

Teraz oto żyli w zgodzie. Więcej, starszy demoralizował chłopaka. Podlizywał mu się wprost. Byleby utrzymać go przy sobie. Byleby posiadać choć tak lichego stronnika.

Zaczął się zwracać do niego nie po imieniu, jak do tej pory, a przez „pan", nadając mu tym jak gdyby wyższą rangę.

— Panie Izydorze — mówił prosząco — trzeba będzie szybko przynieść lodku.

Pan Izydor szedł. Po drodze, jak zwykle, ucinał pogawędkę z tym lub owym. Po godzinie, albo dłużej, lód przynosił. Dawniej dostawały mu się ordynarne wymyślania. Teraz przeciwnie, stał się osobą jak gdyby uprzywilejowaną.

Starszy, choć tolerował lenistwo Izydora, o jego rozwój umysłowy dbał jednak konsekwentnie.

Zdarzyła się w mieście sensacja. W pewnym mieszkaniu zatruło się przypadkowo gazem liczna robotnicza rodzina.

Następnego dnia moi współtowarzysze komentowali wypadek.

— Gdyby to byli Polacy — prawił pouczająco starszy — to co innego, ale żydów nie warto żałować, lepiej że wyzdychali.

Chociaż od dłuższego czasu unikałem ze starszym wszelkich rozmów, tym razem odezwałem się:

— To katolik tak mówi?

— Tak, katolik! — warknął.

Nie spodziewałem się innej odpowiedzi. W ciągu paroletniej pracy pod jednym dachem poznałem go dostatecznie.

Miał, bądź co bądź, swój światopogląd, w którym nic już zmienić nie było można. Co dzień ocieraliśmy się prawie o siebie, a przecież byliśmy mieszkańcami dwóch różnych światów.

Dawniej, kiedy zacząłem pracować w tym samym laboratorium, w którym on rozwijał się od chłopca i po kilkunastu latach zaawansował na samodzielnego laboranta, okazywałem mu dużo lojalności i koleżeństwa. Wzamian spotykałem się z coraz poufalszą arogancją. A później — ze wzrastającą, milczącą nienawiścią.

Wykazywał dużo sprytu i pomysłowości, żeby się na mnie odegrać.

O 5 po południu kończyła się praca. O tej porze ściągał często do laboratorium szefa, aby mu pokazać bądź jaki roztwór, bądź barwnik powstały z jakiegoś oksy-naftaleno-sulfokwasu, analizowanego paranitro-aniliną. I — żeby pokazać szefowi, że oto ja opuszczam fabrykę, a on — tak — zostaje. Bo na razie ma wynik sprzęgania na kwaśno, a teraz jeszcze spróbuje w dwuwęglanie.

Ostatnio, z powodu lichego stanu mego zdrowia, porowato-ceglasta twarz starszego laboranta promieniała wprost zadowoleniem. A małe, szare oczka, obramowane bezbarwnymi szczecinkowatymi rzęskami, nie ukrywały zuchwalstwa.



Dora Rawska
Babka

Pan Izydor dopasował się do mistrza. W wynajdowaniu ciągle nowych wariantów byli niezmordowani.

Kiedy oto dostrzegli, że jest mi gorzej, że mam rozognione policzki, że płuczę gardło, jednym słowem, że sprawa jest na dobrej drodze, nachylali głowy nad aparatem sulfonacyjnym i gorliwie dokręcając śruby, zaczynali cichutko, rzewnym dwugłosem nucić popularnego żałobnego marsza.

Upływał tydzień. Dwa. Trzy.

Dźwigałem się po milimetrze.

Powoli nabierałem sił. Wieczorami stygłem, opuszczały mnie stany podgorączkowe.

W fabryce pracowałem raźniej. Pomyślnie kończyłem opracowywaną od szeregu miesięcy metodę fabrykacji pewnego produktu.

Nadszedł marzec.

Traciłem z mozołem zdobyte milimetry.

Zaczynałem od początku. — Przyczaiłem się w sobie. Czekałem. Samotny.

Przez szereg dni nie chodziłem na obiady. Pracowałem bez przerwy i opuszczałem fabrykę wcześniej. Ulgę tę odzyskałem od władz fabryki. Ale jednocześnie orientowałem się, że wyczerpałem już ostatnie rezerwy pobłażania.

Pierwszego dnia, gdy o godzinie 3.30 po południu zabierałem się do odejścia, moi współtowarzysze byli zdezorientowani, a potem wyraźnie ucieszeni. Są-

dzili zapewne, że opuszczam ich na długo, a może kto wie...

Kiedy szedłem dziedzińcem fabrycznym, usłyszałem za sobą gwizd i znaną melodię żałobnego marsza. Odwróciłem się mimo woli i przez krótką chwilę ujrzałem w pośpiesznie zamykającym się oknie ciemną pudelkowatą czuprynę Izydora, a za nim jaśniejszą, brązową plamę płaszcza starszego laboranta. Ledwo człapałem. Poszedłem dalej.

Gwizd znowu się powtórzył. Wdzierał się uporczywie do uszu, zakrytych podniesionym kołnierzem palta. Przenikał mnie wraz z wilgotnym, zgniłym chłodem marcowej słoty.

Tego dnia się załamałem. Gotów byłem poddać się wszelkim operacjom, byleby choć parę dni poleżeć w spokoju.

Następnego rana, dopingowany przez rodzinę, która dawała mi jak gdyby zastrzyki optymizmu i bagatelizowała chorobę, wstałem.

Czułem się bliski podobnego stanu, w jakim się znajdował ów robotnik w hiszpańskich kopalniach rtęci.

Moich bliskich kochałem i rozumiałem. Tam — wyczerpałem ostatnie rezerwy. Poszedłem. Następnego dnia również. Następnego — również.

Gdy skoki temperatury stawały się zbyt wielkie, przymykałem okno.

Uśmiechali się i szeptem, ale tak głośnym, żebym słyszał, wypowiadali sentencje na temat wytrzymałości i siły. Klepali się po karkach, macali wzajemnie bicepsy.

Przyczaiłem się w sobie. Czekałem. Dźwigałem się po milimetrze. Samotny.

Nareszcie mam urlop w upalne dni lipca. Wydaje mi się, że przeżyłem jakiś koszmarny i dokuczliwy sen. Teraz poprzez przymknięte powieki przenika różowe światło. Nagie ciało rozkoszuje się ciepłem słońca. Oddycham głęboko. Oddycham tak już dłuższy czas. Po prostu nabieram sił na zapas. Przecież znowu czeka mnie praca w laboratorium. Strumienie zimnego powietrza i ten szept dokuczliwy i szyderczy. Uniknę go. Przetrzymam wszystko. Na pewno.

NA TEJ SAMEJ ZIEMI*

Władysław Pawlak

— Zabajałem się z sąsiadami na podwórzu — usprawiedliwiał się Nałęcz przed Lewandowskim po wejściu do mieszkania — zaraz idziemy — rzekł. Wdział na siebie marynarkę i biorąc kapelusz do ręki, zwrócił się do żony:

— Jadzia — mówił — na noc ja nie przyjdę, zamknij się dobrze.

— Dlaczego nie przyjdziesz?

— Idziemy z panem Lewandowskim w komisji strajkowej. — Wyszli na ulicę.

— Ciepło — rzekł Nałęcz do Lewandowskiego — nie będzie nam przykro chodzić.

— A tak, pogoda nam sprzyja.

Idąc rozglądali się po niebie i ulicy już pustej. Minęła godzina jedenasta. Dozorcy zamykali bramy i ludzie z konieczności musieli wrócić do swych izb zatęchłych, lub jeżeli chcieli korzystać z powietrza, na podwórza.

Gwiazdy iskrzyły się na niebie, a księżyc barwił wszystko od stropów nieba poprzez atmosferę, aż do ziemi, jednolicie — seledynowo.

Tylko na jednym z chodników znaczyły się ciemniejsze plamy cieni, padających od budynków, tworząc czarną łamaną linię.

— Spotkamy jeszcze kogo? — zapytał Nałęcz.

— Ma na nas czekać paru. Rosiak, dwóch od Maciejewskiego.

Dalej postępowali w milczeniu poprzez wyludnioną ulicę.

W umówionym miejscu oczekiwało ich kilkunastu mężczyzn. Przywitali się ze wszystkimi, a Nałęcz rzekł:

— Dokąd pójdziemy?

— Kiepsko będzie — mówił jeden — bramy pozamykane.

— Będziemy dzwonili na dozorców, albo przez płoty przechodzili — mówił drugi.

— Ha, będziemy szli i nasłuchiwali, czy gdzie nie kują — rzekł Lewandowski.

— Czy to robotnika powinno się pilnować tak jak złodzieja — mówił Nałęcz. — Gdyby między nami była taka jedność, jak między naszymi pracodawcami, nie potrzebowalibyśmy po nocach utykać. Patrzcie, oni jak jeden trzymają się, żaden bez wszystkich nie idzie na najmniejsze ustępstwa.

— Chodźmy — rzekł Nałęcz — nie ma co stać, szkoda czasu.

Ruszyli.

— Ja znam jedną brygadę, tam robią — rzekł jeden z idących.

— Gdzie? — pytali.

— Na Dworskiej.

— Chodźmy tam — rzekł Nałęcz.

— Chodźmy — odpowiadali.

Weszli na Dworską.

— Daleko to? — pytali.

— Za tamtym rogiem.

— Na górze to, na dole?

— W sklepie.

— Fajno, to z frontu.

Podeszli pod parterowy, drewniany dom, pochylony ku ulicy, posiadający w szczytach mieszkania na pierwszym piętrze.

Że rozmawiali, Nałęcz dał znak by umilkł.

Jedyne wejście sklepowe w tym domu było szczelnie zamknięte i ciemne, ale w oknie tuż przylegającym, poprzez otwory w okiennicy, zamykanej z ulicy, sączyło się światło.

Strajkujący nasłuchiwali, lecz żadnych odgłosów nie było słychać.

— Nie robią — szepnął któryś.

— Trzeba sprawdzić — rzekł Lewandowski.

— Podsadźcie mnie panowie do tego okrągłego otworu, to zobaczę, co się tam dzieje — rzekł Nałęcz.

Kilku ustawiło się pod ścianą i Nałęcz na ich barkach uniósł się w górę. Jednym okiem spojrzał przez serce wycięte w okiennicy, jak przez lunetę w głąb mieszkania.

Do okna przytykając stał warsztat, a po jego bokach siedziało pięciu szewców i wszyscy pracowali, kończyli robotę.

Do pracy przyświecała im jedna lampa, a nad drugą, na tak zwanej szubienicy stojącej nad lampą grzały się narzędzia służące do odciskania kantów podeszew i nadawaniu połysku obcasom.

Dwóch z pracujących odciskało kanty, a dwóch glaspapierem wygładzało podeszwy u skończonych bucików, aż pył ze skóry unosił się na całą izbę.

Ostatni z pracujących, w chwili gdy Nałęcz spojrzał w otwór, zdjął z nad lampy jedno z narzędzi i że było za gorące, włożył do garnuszka z wodą, stojącego na warsztacie. Po izbie rozeszły się kłęby pary i syczenie.

Ogarniając okiem całe mieszkanie Nałęcz ujrzał dwa łóżka, stojące obok siebie, przytykające do jednej ze ścian. Na jednym dojrzał śpiącą kobietę z otwartymi ustami, okrytą po obnażone piersi pierzyną, obok niej leżało niemowlę i najprawdopodobniej odsunęło się od piersi.

Na drugim łóżku w „głowach" spało troje dzieci, jeden chłopiec i dwie dziewczynki, które skopały z siebie pierzynę na jeszcze jedno śpiące w nogach, któremu widać było tylko czuprynę. Troje śpiących razem miało tak pokiereszowane koszule, iż raczej były nagie, niż w bieliźnie; lat były od ośmiu do dwunastu.

Jeden z pracujących po wygładzeniu podeszwy wziął wykończony już zupełnie bucik i zmywał z niego brud. Prawie czarną szmatę ślinił językiem i zmywał cholewkę.

— Robią? — pytali Nałęcza strajkujący.

Dał ręką znak by go opuścili na ziemię.

— No i jak, robią? — zasypywali go pytaniami, gdy już stanął na ziemi.

— Robią — odparł — pięciu robi.

— A nic nie słychać?

— Wypalają — szepnął.

Poczęli się naradzać, co robić. Z mieszkania dobiegł głośny, raptowny stuk.

— Wyciągnął kopyto z kapcia — rzekł któryś.

Zaledwie stuk ucichł, posłyszeli głośne stukanie młotkiem.

Naradzili się i Nałęcz lekko zapukał do drzwi.

Zaległa cisza.

Nałęcz zastukał głośniej.

Cisza.

Na ulicy wszyscy z naprężeniem oczekiwali.

Teraz Lewandowski zastukał mocniej.

— Kto tam? — usłyszeli ostre pytanie.

— Otworzyć! — odpowiedzieli.

— Kto jest?

— Komisja strajkowa.

* Fragment nowej powieści o życiu chałupników.

Cisza i oczekiwanie.

— Otworzyć, bo okiennice wyłamiemy i oknem wejdziemy — krzyknął któryś i wiatr poniósł wołanie w ulicę.

Inni poczęli bić pięściami w okiennice i drzwi, i odgłos niósł się w głuchą noc.

— Panowie, cicho, nie budzić ludzi — rzekł Lewandowski.

Nastąpiła nowa cisza.

— Panowie, mówimy wam po dobroci, otwórzcie — rzekł Lewandowski.

Po chwili zaskwierczał klucz w zamku drzwi wewnętrznych, a później dało się słyszeć opuszczanie haków przytrzymujących drzwi zewnętrzne.

Jeden ze strajkujących nie czekał na zupełne otworzenie, a szarpnął jedną połowę drzwi u dołu i wejście do sklepu otworzył. W drzwiach stał apatyczny, z zaczerwienionymi oczyma, w fartuchu tylko i kalesonach, w pantoflach na nogach mężczyzna.

Z wewnątrz mieszkania na wychodzących z ulicy buchnął zaduch i smród.

Do sklepu weszli wszyscy strajkujący.

Pracujący powstali z miejsc, a na ich twarzach znać było przemęczenie i apatia wyzierała z ich ócz.

Któryś nasunął pierzynę na jeszcze śpiącą kobietę i okrywał dzieci.

— Panowie jesteście świnie! Tfu! — splunął Lewandowski — wiecie że sześć tygodni już trwa strajk, a wy robicie wtedy, kiedy cały proletariat szewcki głoduje.

— Powiedzcie czy tak dużo zarabiacie, że nie chcecie walczyć o poprawę bytu. Nocami harujecie gorzej od katorżników cierpiących za najcięższą zbrodnię — mówił jeden ze strajkujących.

— Kto tu jest majstrem? — zapytał Nałęcz.

— Ja — odrzekł wysoki, wychudły, oszpecony ospą, człowiek.

— Panie — zwrócił się ku niemu Nałęcz — czy pan koniecznie nie chce swych dzieci wychować na zdrowych ludzi. Czy pan uważa, że one dzień i noc mają mieć podobne do piekła, przecież tutaj u pana w tej atmosferze upiec się można, a nie spać.

— Smród jak cholera — mówił inny — nafta śmierdzi jak gaz trujący, wosk tak samo, a powietrze jak w kreciej jamie, ze oddychać trudno.

Pozostali członkowie komisji także wymyślali, a tylko pracujący nic nie mówili.

Dziecko śpiące w nogach przebudziło się, siadło na łóżku półprzytomne, całe spływało potem.

Kobieta także się przebudziła, siadła na łóżku, tyle mając przytomności, że pierzyną okrywała nagie ramiona i piersi, patrzyła wylękła po wszystkich. Reszta dzieci także nie spała, a niemowlę kwiliło.

— Do kogo robicie? — zapytał Lewandowski.

— Na Nowomiejską.

— Po ile wam płacą od pary?

— Po dwa dwadzieścia pięć.

— Dużo zrobicie przez tydzień?

— Jak czasem, jeżeli porobi się nocami, to do czterdziestu par, a nawet i więcej.

— A regularnie wam płacą?

— Płaczem i cholerami trzeba im pieniądze wydzierać, jak psu kość z gardła.

— A pomimo to nie chcecie strajkować?

— Nie ma co jeść i musowo robić.

— A my to mamy! — wykrzyknął któryś.

— Panowie nie możecie robić i tę robotę zostawcie tak, jak jest i byście jej nie kończyli i nie oddali do magazynu, zabierzymy ją do związku — mówił Nałęcz. — Musicie się z tym pogodzić, że strajk, my też nie jesteśmy w lepszym położeniu od was.

Kobieta siedząca na łóżku teraz zrozumiała, co się dzieje. Poczęła prosić, by strajkujący nie zabierali roboty, którą już pakowali. Zawodziła klnąc i prosząc na przemiany.

— Dotychczas brud i smród nas gnębiły — szlochała — a teraz pozdychać z głodu nam przyjdzie.

Niektóre dzieci także płakały, a wszystkie siedziały jak wystraszone kościotrupy.

Strajkujący nie odpowiadali ani na wyrzekania kobiety, ni płacz dzieci, zarówno jak i na najohydniejsze klątwy, wyzwiska i pomstowania. Do pracujących natomiast odnosili się ostro, gdy ci protestowali przeciw zabieraniu roboty.

Strajkujący wyszli na ulicę gonieni klątwami kobiety i płaczem dzieci.

— A jak nie, to dać im skończyć robotę — mówił jeden do idących — widać, że tam bieda aż piszczy. Cały ten sklepik jak klateczka.

— Mają tam tylko dwa wyrka, warsztat, stół — rzekł drugi.

— Nawet krzesła nie zauważyłem — wtrącił Lewandowski.

— Nie było.

— Co tu się litować? —rzekł ostro na przodzie idący — ja już, cholera jasna, drugi dzień nic żrę i nie wiem, kiedy będę żarł, ledwie girami powłóczę, a nie robię. Strajk, albo nic strajk.

Do samego rana chodzili, a już za dnia około ósmej udali się do związku z pozabieraną tu i ówdzie robotą.

DWA DEBIUTY*

Witold Salm

* * *

Akompaniament — poszum drzew,
melodia — ptaków dzwonki, śpiew.

Rozgłośnie krzyczy z sadu paw,
rechotem żab ocieka staw.

Z tatarki smug, z łąkowych ziół
rozbrzmiewa senne granie pszczół.

Uderzył wiatr w jabłonek sad,
czerwony owoc w trawę padł.

Przy dworskiej kuźni dzwoni młot,
krzyk gęsi leci hen od błot.

Wszystko się w jedną piosnkę splata
utrudzonego w słońcu lata.

CHARTRES

Alfred Wizner

Szorstkie głazy muzyką porosłe,
chórami i ciężkim milczeniem.
O twórcza ciszo! Posągi proste
i śpiewy błagalnym spowite cieniem.

Nędzo strzelista! Kolumno rosnąca!
Skąd wyrósł twój korzeń, gdzie ziemia?
Pytasz. Chimera wszystkowiedząca
Śmiech swój podparła łapami obiema.

Nie sięgnie dna płatkami witraży
róża płomienna. Ciemno — w oczach proch.
W oczekiwaniu rozjaśnionych twarzy
jutro. Dziś — głowa na głazach. Mrok.

Czujesz. Spłynął czas. Wiatr z drzew strąca śnieg.
Zczerniały mech pleśnią oplata skroń.
W głąb mroku opada jak w zamarły wiek
bezsilna dłoń.

* Wiersze wyjęte z tomików Witolda Salma „Kwitnące głogi" i Alfreda Wiznera „Ślady czasu", które się ostatnio jako debiuty pojawiły. Odnotowujemy udane wystąpienie obu autorów-łodzian.

ROLA GRUPY IDEOWEJ W ŚRODOWISKU ŁÓDZKIM

Edgar Szubert

Łódź nie odgrywa w Polsce tej roli gospodarczej i kulturalnej, jaka jej się należy. Właściwy miastu „kompleks niższości" dręczy bezustannie wszystkich lokalnych patriotów łódzkich. Realne, trzeźwe środowisko łódzkie nie sprzyja jałowym biadaniom i narzekaniom, łodzianie wierzą przede wszystkim w doniosłość i skuteczność czynu. Dlatego uzbroiwszy się w optymizm łódzki, wierząc, że czas pracuje dla nas, należy przystąpić do energicznej walki o właściwą rolę Łodzi w Polsce.

Koniunktura gospodarcza, jaką przeżywamy od kilku lat, nastraja optymistycznie co do rozwoju gospodarczego naszego miasta — przecież polski przemysł włókienniczy jest bardzo skromny w stosunku do wielkości państwa. W miarę podnoszenia się dobrobytu szerokich rzesz ludu polskiego, otwierać się będą coraz lepsze widoki rozwoju przemysłu. Łódź wzmagać będzie swoje znaczenie gospodarcze, co ułatwi przy usilnej pracy sfer gospodarczych usunięcie „kompleksu niższości" w dziedzinie gospodarczej.

Daleko większe trudności piętrzą się przed Łodzią w dziedzinie społecznej i kulturalnej. Łódź jest miastem kontrastów: bogactwa i nędzy, wytężonej pracy, ale i bezrobocia, radykalizmu i nacjonalizmu, skrajnego egoizmu i materializmu, skrajnego egoizmu i masowności i poświęcenia. Należy te kontrasty wyrównać, zachowując wszystkie najlepsze cechy wartości, jakie tkwią w poszczególnych tych zjawiskach. Zbyt wielki to temat, aby wyczerpać w jednym artykule. Kontrasty te kryją w sobie niezmierne możliwości dla twórczej pracy społeczno-kulturalnej. Miasto nasze jako młode nie posiada utrwalonej tradycji, podatne jest dla oryginalnych rozwiązań, w wyniku których zdoła się zdobyć setki tysięcy robotników łódzkich dla kultury i cywilizacji. Nie można pominąć wielkich wysiłków i rezultatów osiągniętych przez władze państwowe i samorządowe oraz najrozmaitsze organizacje społeczne, polityczne i zawodowe w podnoszeniu poziomu życia klasy robotniczej Łodzi. Osiągnięte wyniki są jednak niedostateczne wobec ogromu zagadnień, przy czym utrwala się przekonanie, że główne zadanie musi spełnić inicjatywa społeczna samych obywateli.

Łódź znana jest szerszemu społeczeństwu polskiemu jako „złe miasto", w którym toczy się brutalna, bezwzględna, zażarta walka o bogactwo, połączona z wyzyskiem i nędzą robotników. Takiego przekonania może nabrać czytelnik prasy polskiej, przeglądając kronikę łódzką, wypełnioną wiadomościami o bezustannych zatargach w fabrykach, strajkach, wyzysku chałupników i t. p. Natomiast bardzo mało są znane dzieła idealizmu i poświęcenia społeczeństwa łódzkiego, którego prawem kontrastu, jest znacznie więcej w Łodzi, aniżeli w innych środowiskach Polski. Wszystkie instytucje dobroczynne z czasów przedwojennych, a i wiele z czasów powojennych, to dzieła nielicznych ideowych jednostek, które z energią i uporem przeprowadzały swe przedsięwzięcia, łamiąc wszelkie przeszkody i zdobywając poparcie materialne. Ostatnio w wielu akcjach społecznych ogólnopolskich Łódź wyróżnia się energią, oryginalnymi i pożytecznymi rezultatami, budzącymi szacunek i uznanie innych okręgów, które nie mogą nam dorównać idealizmem i zapałem, włożonym w daną akcję. Mimo tych poważnych dokonań społecznych i filantropijnych, środowisko łódzkie odczuwa brak ludzi uspołecznionych, ofiarnych, chcących bezinteresownie pracować dla dobra ogólnego.

Pismo nasze, jako organ rdzennych młodych łodzian, chce służyć sprawie wywalczenia Łodzi należytego stanowiska społecznego i kulturalnego w Polsce. Ambitne to dążenie może być wykonane w kilku etapach obliczonych na wiele lat:

a) trzeba pozyskać czynną współpracę szerokich rzesz robotniczych w walce o wyższy poziom życia kulturalnego Łodzi; trzeba rozbudzić w nich aspiracje kulturalne, pęd do wiedzy, szacunek dla kultury, przywiązanie do miasta rodzinnego;

b) dopiero wówczas wytwarzająca się elita kulturalna Łodzi, zyskując coraz silniejsze oparcie w masach społeczeństwa łódzkiego, będzie mogła przez swe dokonania i wartości wywalczyć naszemu miastu należne stanowisko w życiu kulturalno-społecznym Polski.

Wykonanie tych zadań możliwe jest tylko przez utworzenie grupy ideowej w środowisku łódzkim, zdolnej do nieustępliwej pracy dla ideału kulturalnej Łodzi.

Grupa ideowa jest to taka grupa społeczna, której głównym zadaniem jest wyszukiwanie i urabianie ludzi-ideowców, którzy bezinteresownie, z poświęceniem zdolni są do wytrwałej pracy społecznej. Stwierdziliśmy, że w Łodzi, jak zresztą wszędzie na świecie, brak jest ideowych ludzi zdolnych do podejmowania i rozwiązywania szerokich zadań społecznych. Niejednokrotnie w Łodzi powstawały ruchy społeczne, rokujące piękne nadzieje, ale po krótkim okresie ożywionej działalności zamierały lub kostniały, tracąc swoją początkową dynamikę. Działo się to dlatego, że kierownicy akcji albo się zniechęcali do pracy, albo zaczynali myśleć raczej o własnych korzyściach, niszcząc główny motor działania społecznego — bezinteresowny zapał i entuzjazm twórczy. Socjologia współczesna należycie docenia znaczenie przywódców społecznych, których współdziałanie może spowodować czyny potężne. Bez zharmonizowanej, zwartej, ideowej grupy przywódców społecznych nie jest możliwa realizacja ideału Łodzi kulturalnej. Nie można sprawy pojawiania się przywódców społecznych pozostawiać jedynie przypadkowi, jak to działo się dotychczas w dziejach ludzkości. Socjologię coraz więcej zajmuje zagadnienie, jakimi sposobami można rozwinąć w ludziach uzdolnienia twórcze i pomnożyć szeregi organizatorów ideowych. Teoretycznie sprawa jest rozstrzygnięta, że przez jakiś rodzaj wychowania można urobić przywódców społecznych, ale nauka nie może dotychczas udzielić wyczerpujących i praktycznych wskazówek w tej dziedzinie. Wielką rolę w rozwiązaniu tego zagadnienia może odegrać grupa ideowo-społeczna. Liczne organizacje społeczne próbują wychowywać własne kadry przodownicze, ale przeważnie bez widocznych rezultatów. Grupa ideowa uważa za swe główne zadanie wychowanie przywódców społecznych, przy czym ma na tyle samokrytycyzmu, że nie dopuszcza żadnej fikcji, nie bierze pozorów za rzeczywistość. W Łodzi istnieją grupy ideowe, które przezwyciężają najrozmaitsze a liczne przeszkody, w ciszy i spokoju pracują nad wyhodowaniem ideowego działacza społecznego.

Łodzianie, którzy kochają swe miasto, ubolewają nad jego upośledzeniem w Polsce i chcą walczyć o kulturalną Łódź w przyszłości, muszą zrozumieć, że jednym z poważnych czynników przyszłego zwycięstwa jest otoczenie czujną a wszechstronną opieką grup ideowych, działających na terenie Łodzi. Znając energię, konsekwencję i wytrwałość łodzian, z chwilą kiedy zdoła się ich przekonać o słuszności i wielkości danej sprawy, „Wymiary" pragną zwrócić uwagę opinii społeczeństwa łódzkiego na znaczenie grup ideowych w naszym mieście.

Jeżeli grupy ideowe wykażą swoją zdolność do wytrwałego czynu społecznego, zdołają wytworzyć karne zastępy ideowych działaczy społecznych, wówczas swoim zapałem i wiarą zdołają zbliżyć olbrzymie rzesze robotnicze do kultury oraz zjednoczyć elitę kulturalną miasta w walce o należne miejsce Łodzi w Polsce. A dalszym etapem walki będzie ekspansja kulturalna Łodzi na Polskę, zdecydowane dążenie do zaszczepienia w Polsce najistotniejszych cech charakteru łódzkiego — kultu wytężonej pracy, tężyzny osobistej, optymizmu życiowego i umiejętności zespołowego działania.

TEATRY ŁÓDZKIE W SEZONIE 1937/8

J. B.

W sezonie bieżącym została dokonana śmiała próba teatralizacji Łodzi. Zjednoczono wysiłki dyrektorów dotychczas odrębnych scen, zarzucono sieć na peryferia, zainteresowano teatrem robotników, sprowadzono zdolnych reżyserów, skompletowano liczny i na ogół dobry zespół i jak najszerzej dobrano repertuar. Było to zapoczątkowanie całej, powiedzieć by można, ery teatralnej, podjęcie planowej ofensywy o rozmachu dotychczas u nas niespotykanym. Opatrznościową rolę odegrał tu odpowiedzialny za stan spraw teatralnych w Łodzi wiceprezydent miasta, Antoni Pączek, który zarówno przez rzucenie pionierskiej inicjatywy jak i odpowiednie poparcie materialne postawił teatry na nogi. Jego to energii, doświadczeniu a przede wszystkim miłośnictwu sztuki zawdzięczają łodzianie bujny rozkwit Melpomeny.

Taka organizacja życia teatralnego Łodzi, jaką obecnie oglądamy, jest obok koncepcji T. K. K. T. jedynym tego rodzaju rozmachem w Polsce. Przedsięwzięciem, który usiłuje rozwiązać problem dany w ogóle i które korzysta z całej sumy dotychczasowych doświadczeń. Tu nazwa ery teatralnej Łodzi znajduje swoje uzasadnienie. Takiego impetu, pobudzenia ambicyj, podjęcia wreszcie prac na całej linii nie przeżywaliśmy dotąd.

Dość powiedzieć, że pierwsza połowa sezonu przyniosła przeszło pół tysiąca przedstawień najrozmaitszego typu — zależnie od sceny. Tych bowiem mamy obecnie aż 5, kierowanych przez dwuosobową dyrekcję K. Wroczyńskiego i H. Morycińskiego. Repertuar żelazny i lekko-kameralny, lecz w dobrym tonie, dawały Teatr Polski i Teatr Kameralny. Natomiast Teatr Popularny i 2 sceny peryferyjne przy fabrykach wystawiały rzeczy przystępne i rozrywkowe. Ogółem odbyło się dotąd 35 premier, w tym samych polskich sztuk było 18.

Dobór repertuaru odbywał się pod jak najszerszym kątem widzenia, mając na względzie zaspokojenie najróżniejszych gustów. Eklektyzm? Ten zarzut był by tu bezpłodnym teoretyzowaniem. Życie Łodzi ma swoje osobliwości i wysuwa odrębne żądania. Oczywiście, nic łatwiejszego, jak ściągnąć do teatrów określonego widza, zapoznać się z jego gustem i wedle tych wymogów układać program. Cóż, kiedy miasto nasze nie wyrobiło jeszcze konsumentowi sztuki indywidualnego oblicza, nie ujednostajniło jego zainteresowań. Przeciwnie, znany niepokój Łodzi, krańcowość w wyrazie, kolosalna sprzeczność wielu interesów — wszystko to odbija się na światopoglądzie teatralnym łodzianina bardzo ujemnie. Dezorientuje jego gust, widownię skłóca i rozbija. W tych warunkach zupełnie nie wiadomo co chwyci, co się spodoba, a co nie. Dzieją się pod tym względem rzeczy zupełnie niezwykłe, różnica z taką np. Warszawą teatralną ogromna. Ileż to wymaga czujności ze strony kierow-



„Kobieta bez skazy" G. Zapolskiej w Teatrze Kameralnym



„Świerszcz za kominem" K. Dickensa w Teatrze Popularnym



„Szklanka wody" E. Scribe'a w Teatrze Kameralnym

nictwa, umiejętności lawirowania wśród oporów i sprzeczności, wynajdywania wreszcie pomyślnych wiatrów, by wpłynąć na szerokie wody.

Wysypano z teatralnego rogu obfitości, co tylko się dało. Repertuar poważny reprezentowali Szekspir, Wyspiański, Dickens, Krasiński, Fredro, Zapolska, Roztworowski... Dobrą klasę komediową pokazano, wystawiając Scriebe'a, Shaw'a, Giradoux, Cailaveta i Flersa, no i oczywiście Moliera. I dalej repertuar widowiskowy od „Gałązki rozmarynu" do „Jadzi wdowy" i dalej aż po taneczne akordy rozrywki.

Liczny i zdolny na ogół zespół umożliwił szybkie przerzucanie sztuk ze sceny na scenę, wystawianie na czas, a przede wszystkim nienużące granie. Jako reżyserowie godni są wymienienia Krasnowiecki i Dąbrowski, doskonali jednocześnie teoretycy teatru, znawcy zwłaszcza klasycyzmu. W zakresie dekoracyjnym poszczycić się należy tak oryginalnym talentem jak Konstanty Mackiewicz. Wybija się także jako dekorator Teatru Popularnego i scen peryferyjnych Tadeusz Kalinowski, młody adept ś. p. Drabika a potem Daszewskiego. Doskonałe są jego dekoracje zwłaszcza w „Niespodziance" Roztworowskiego. To wszystko? A setna inscenizacja L. Schillera, jaką było u nas wystawienie „Nie-boskiej?" A występy Węgierki, J. Węgrzyna i Stępowskiego? Zdaje się dość wysiłków, by publiczność przywabić.

Ona zaś? Jak dawniej trudna jest do zdobycia. W tej sprawie pisał przed paru miesiącami wspomniany już inicjator obecnej kampanii teatralnej: „Jeśli się zważy, że pierwszy teatr, oczywiście wędrowny, grał w Łodzi już w roku 1844, a więc przeszło 90 lat temu, że równo przed siedemdziesięciu laty gościł w Łodzi wielki podobno tragik, murzyn Aldrigde, który po jednym wystąpieniu w roli Otella zmarł i pochowany został na cmentarzu ewangelickim w Łodzi, że wreszcie od roku 1888, czyli od lat prawie pięćdziesięciu grywa tu teatr stały — to ta obojętność dla teatru, ten brak poważniejszego kontyngentu stałych bywalców teatralnych, staje się po prostu zdumiewający. Garść młodzieży szkolnej, trochę arystokracji robotniczej, inteligencja pracująca i wolne zawody — oczywiście także nie w całości — oto kadry publiczności teatralnej, poza którą znajduje się drobne mieszczaństwo i wielka burżuazja, lwia część robotników, a nawet spora gromada inteligencji pracującej i przedstawicieli wolnych zawodów".

Bezrobocie i niskie zarobki, zwłaszcza wśród robotników i sfer pracujących, nie są tu dostatecznym usprawiedliwieniem. Jakież tłumy walą do kin! A przecież w teatrach przedstawienia t. zw. zorganizowane dają możność wstępu za opłatą, poczynając już od 30 groszy.

Więc chyba co innego gra tu rolę. Brak wyrobienia gustu teatralnego, brak wreszcie atmosfery, sprzyjającej powstaniu pełnowartościowej widowni. Ale to są rzeczy do zrobienia, tylko trzeba na efekty długo i cierpliwie pracować. Publiczność łódzką zdobywa się z trudem, lecz raz zdobyta — staje się wdzięcznym widzem i słuchaczem.

W tym sensie tegoroczna akcja teatralna w Łodzi ma niezmiernie doniosłe znaczenie: stwarza widza.

Rezultaty jawią się powoli, ale już są widoczne. Miesiąc po miesiącu wzrasta frekwencja, budzą się zainteresowania i zmienia się korzystne nastawienie opinii publicznej.

Marzec przyniósł wypełnioną widownię. Oby tak działo się już zawsze — nie tylko pod wpływem wiosennych nastrojów.



„Tessa" J. Giraudoux w Teatrze Polskim

PRZED OKNEM KSIĘGARNI

Jarosław Iwaszkiewicz. Wiersze wybrane. Wyd. J. Przeworskiego. — Mieczysław Jastrun. Strumień i milczenie. Wyd. J. Mortkowicza. — Jerzy Zagórski. Wyprawy. Nakł. Zw. Zaw. Literatów Polskich.

Wybór wierszy danego poety ma też swój sens ogólniejszy: prezentuje pełne oblicze, pozwala rozeznać całość konstrukcji psychicznej, już nie fragmenty lat. To zaś ułatwia konfrontację z epoką, prowadząc do stwierdzeń, o ile autor sięgnął poza swój czas. Pod tym względem „Wiersze wybrane" Jarosława Iwaszkiewicza nasuwają szereg znamiennych wniosków. Poezja ta na tle „Skamandra" i dzisiejszej rzeczywistości zarysowuje się jako pełna indywidualna pozycja, która coraz bardziej zyskuje na wartości. Decyduje o tym silny związek z kulturą Zachodu, intelektualizm w treści i prostota w formie.

Nowy tomik Jastruna zasadniczo nie przynosi niespodziewanych motywów. Wzbija się tu nade wszystko ton już uprzednio zasłyszany: tragizm przemijania. Tylko, że teraz doznał on natężenia i determinacji ostatecznej. Stąd i tytuł: strumień i milczenie. Ruch urody świata, cały ten szmer istnienia, szept ludzkiej i zwierzęcej krwi — objawiają swoje okrutne piękno w stopniu bałwochwalstwa, jakie tylko u Żeromskiego można spotkać. Lecz świadomość fatalności udaremnia każdą próbę współuczestniczenia, skazuje osobowość artysty na osamotnienie bezwzględne, na hermetyczne niejako zamknięcie w sobie. Daje to jedyną w swoim rodzaju poezję refleksyjną — „cały świat, co wewnątrz płonie, zamknięty źrenicami".

„Wyprawy" Jerzego Zagórskiego znamienne są jako świadectwo przestawiania poezji na tory epiki i aktywności. Od biernego chłonienia do wysiłku konstrukcji. Od subiektywizmu do zdobywczości, w której będzie się usiłowało tworzyć nowe wizje. Temu zaś towarzyszy rozległy zasób środków, korzystanie zarówno ze sposobów awangardy francuskiej jak i przetrawianie Słowackiego, duchowego chleba wszystkich poetów. Dlatego poezja Zagórskiego ma ważki ciężar gatunkowy.

Juliusz Kaden Bandrowski. Życie Chopina. Gebethner i Wolff.

Niespożyty talent Kadena odsłania tu jeszcze jedną stronę. Utwór, z którego bije pełnia muzyczna. Czcionki śpiewne. Mistrz, co miotał bryły, pasje ludzkie z korzeniami wywracał, dobywa nagle słów odcieni słów — ćwierćtonów i półświateł. Ujmuje grające nuty Chopina tak lekko że nie traci nawet dalekiego echa.

Omawiana książka odbiega od charakteru poprzednich prac Kadena, ale też wymyka się ustalonemu schematowi biografii powieściowej. To jest po prostu zaklęcie w kształt prozy istności Chopina. Jedną trafną metaforą umie znakomity pisarz rozświetlić niewtajemniczonym w termino logię i technikę muzyczną całą wartość i sekrety fortepianu.

Godny to wielkiego muzyka komentarz, dowód długiego z nim obcowania. Podsłuch całym sobą, całą nienasyconą chłonnością piękna.

Zofia Nałkowska. Charaktery. Wyd. II-gie. Książnica Atlas. — Niedobra miłość. Wyd. III-cie. Książnica Atlas.

Czuła, acz zobiektywizowana w wyrazie wiedza spraw ludzkich, wysoki kunszt artystowski stanowią zasadniczą cechę Nałkowskiej. Drugie a nawet trzecie wydanie szeregu powieści, podjęte z chwalebną starannością przez Książnicę-Atlas, cieszy się z niepomniejszoną przez czas satysfakcją. Treść osnuta jak gdyby do okoła najsubtelniejszych nerwów; kompozycja przejrzysta, wiązalna w każdym elemencie; styl krystaliczny.

„Charaktery" i „Niedobra miłość" zawierają

ciekawy właśnie dla Nałkowskiej leitmotiv dociekliwości psychologicznej. Pierwsza książka to delikatne miniatury charakterologiczne, prezentujące przede wszystkim mistrzostwo narzędzia. „Niedobra miłość" jest już pełnym zastosowaniem powziętych zdobyczy, zademonstrowanym na przykładzie tezy, że charakter nie istnieje sam przez się lecz ustawicznie współpracuje z innym i w tej niewidzianej pracy poprzez obcość osiąga swą jedyną miarę. W omawianej powieści tak zostały podjęte i ukazane przemiany wewnętrzne trzech kobiet. Rzucenie tego problemu na nieruchome tło prowincji pozwala tu widzieć każde drgnienie, każdą falę psychiczną, jak gdybyśmy śledzili na gładkiej wodzie rozchodzenie się kół od ciśniętego kamienia. — Powieść ma też swój aspekt socjalny, odnotowuje metamorfozy, jakie przechodziła prowincja nasza, przede wszystkim ziemiaństwo, zaraz po wojnie.

Maria Dąbrowska. Znaki życia. Opowiadania. Wyd. J. Mortkowicza.

Drobne te utwory powstały ubocznie na rozległym warsztacie pisarskim autorki „Nocy i dni"; są to jak gdyby odciosy z losu postaci, uwidocznionych w znakomitej epopei cyklicznej. Niemniej każda nowela stanowi całość w sobie, rodzaj studium artystycznego, gdzie zarysowuje się zarówno problem treści jak i rasowa forma pisarska. Wszystkie one dotyczą ludzi, którzy, jak to mówi autorka w przedmowie — wskutek przypadkowych lub istotnych okoliczności nie przejawiają pełni bogatego i wszechstronnego istnienia. Dają jednak w miarę swych sił przynajmniej znaki życia. — Pierwsza z tych rzeczy „Ksiądz Filip" opowiada o kapłanie, który minął się z powołaniem, doszedł jednak po wewnętrznych walkach do zrozumienia, że „świat posuwa się naprzód nie przez wypełnienie praw, lecz przez uczynki dobre". Dwa inne opowiadania „Drobiazg" i Oktawia" traktują o kobiecie niesytej szczęścia. Wreszcie „Szkiełko" przenosi nas w czerwoną atmosferę 1906 roku.

Adolf Nowaczyński. Słowa, słowa, słowa... Wyd. J. Przeworskiego.

Tytuł zapewne nie zachęca do czytania. Lecz szperacza i lubownika słów książka Nowaczyńskiego, rozchylając swoje karty, wyprowadzi w świat drobnych a interesujących ciekawostek, przyczynków, motywów i szczegółów. Jest tu ogółem 18 szkiców, że tak powiem, wyprysłych spod zamaszystego pióra Nowaczyńskiego. Dotyczą one zjawisk literackich i postaci jak najróżniejszych. Sobieski, Kordian, Mickiewicz, Ordon, Conrad i Żeromski — wszyscy oni znaleźli tu jakieś z tej czy innej strony poznakowanie. A już cała hałastra najrozmaitszych trzeciorzędnych figur typów i przechodniów epoki — wywala się z książki Nowaczyńskiego bez pardonu, w pełni życia i obyczaju.

Tadeusz Żeleński-Boy. Marysieńka Sobieska. Księgarnica Atlas.

Historię tę czyta się jak najbardziej zajmującą powieść. Lecz nie dajmy się uwieść pozorom: żywość opowiadania została osiągnięta na skutek osobliwego daru narracji; natomiast sam materiał wspiera się na udokumentowanych historycznie i obyczajowo faktach. W tym sensie książka Boya stanowi owoc zgłębień i dociekań wielu źródeł, pamiętników, listów, i dokumentów. A do plusów czysto artystycznych dochodzą zalety ścisłości historycznej i wierności psychologiczno-obyczajowej.

Na szerokim tle epoki, obejmującym dzieje Polski od Wazów do Sasów, na tle dworskich intryg i międzynarodowych rozgrywek, wichrzeń magnatów i bohaterskich walk rycerstwa z zewnętrznym wrogiem skreślona została miłość króla Jana do Marysieńki.

St. Andrzej Radek. Rewolucja w Warszawie. Inst. Wyd. „Biblioteka Polska". — Gustawa Jarecka. Ludzie i sztandary. Cz. I. Ojcowie. Wyd. J. Przeworskiego.

Trzylecie walk rewolucyjnych 1905—8 roku minęła u nas jakoś bez większego echa. Odnosiło się nawet wrażenie, że jubileusz to dziś niewygodny i niepożądany. Trzeba było dopiero śmierci Struga, by nad jego trumną, jak to pisał Irzykowski, nastąpiło milczące pojednanie, powrót we wspomnienia i należyte uczczenie minionego bohaterstwa. Aż tego trzeba? Pomijając wszelkie akcenty, jakimi może dziś rok 1905 wybrzmiewać, należy jednak uznać bezwzględną wartość tamtej epoki, jako szkoły wychowania charakteru i zaprawiania do męstwa.

Dobrze się więc stało, że St. Andrzej Radek i Gustawa Jarecka podjęli temat rewolucji. Pierwszy, doskonały znawca środowiska irredenty i autor nowel robotniczych, opisał walkę Warszawy z zaborcą rosyjskim w latach 1904—1909. Również i Jarecka przedstawiła w swojej powieści te czasy. Godny, co zresztą już podkreśliłem, pomysł. Beletryzacja zaś materiału mniej niż w innych wypadkach szczęśliwa.

Bruno Winawer. Cztery kąty widzenia. Wyd. Współczesne.

Nowy zbiór Winawera utrwala tradycję głośnej przed paru laty „Bocznej anteny". Choć dziś mniejszy może popyt znajdzie ten właśnie gatunek felietonu, popularyzującego ostatnie zdobycze nauki i techniki. Mimo woli sam autor podsuwa wytłumaczenie: „Nie ulega kwestii, że nieprawdopodobne dziwy, wynalazki, twórczość techniczna mają dziś znacznie gorszą prasę" niż wczoraj, że nie wywołują już głośnych zachwytów, straciły sporo na blasku i uroku. Ludzie są tym wszystkim w naszej epoce przesyceni ..." Uporczywy jednak wielbiciel rekordów sięgnie jeszcze do książki Winawera, zwłaszcza do miejsc, omawiających osobliwości Pałacu Odkryć na Wystawie Paryskiej, by zaspokoić swą ciekawość.

G. T.

Helena Loria
Martwa natura

Sara Gliksmanówna
Motyw z Elektrowni Łódzkiej



Ogólny widok Kolegiaty w Tumie

O RATUNEK DLA TUMU

Ukazała się świeżo w druku praca Michała Walickiego p. t.: „Kolegiata w Tumie pod Łęczycą" nakładem Łódzkiego Obywatelskiego Komitetu Ratowania Kolegiaty w Tumie przy współudziale Pol. Tow. Historycznego w Łodzi.

Ciekawa i piękna ta praca nastawiona jest przede wszystkim na zbadanie zabytku, jako najcenniejszego pomnika sztuki romańskiej w Polsce. Autor wydobywa na jaw zapomniane szczegóły, rekonstruuje pierwotny wygląd budowli, ustala genezę form artystycznych i poza tym grupuje te fakty historyczne, które rzucają właściwe światło na sytuację poprzedzającą wzniesienie kościoła w jego kształcie romańskim. Monografia więc kolegiaty jest w pracy Walickiego zacieśniona do sprawy zresztą najważniejszej i istotnie czytelnik doskonale uzmysławia sobie ten zabytek, jako romański okaz budowy kościoła. Praca przeprowadzona jest starannie i sumiennie, dowodzenia i argumenty poparte są faktami historycznymi bądź fotografiami, jako pewną oczywistością architektoniczną. Dział ilustracyjny postawiony jest szczególnie wysoko, wszystkie zdjęcia są niemal okazem piękna, a nie zwykłą ilustracją książki. Polecić też ją trzeba każdemu, z tego też między innymi względu, że dzieło wywołała głęboka troska o los kolegiaty. Uratowanie murów jest dotychczas zasługą władz państwowych, administracyjnych i konserwatorskich kosztem kilkudziesięciu tysięcy złotych. Teraz głos ma region, niewątpliwie również zainteresowany w ratowaniu cennego i b. starego zabytku. W tym też celu powstał Łódzki Obywatelski Komitet Ratowania Archikolegiaty w Tumie pod Łęczycą, powołany do życia w roku 1931 decyzją Kurii Biskupiej, oddziału Łódzkiego, P. Tow. Historycznego i grona osób dobrej woli.

Cele działalności sformułowane są w trzech punktach a mianowicie.

Komitet pragnie gromadzić fundusze na potrzeby konserwacji i restauracji kościoła tumskiego ze źródeł regionalnych, przede wszystkim łódzkich, popularyzować wiadomości o tym zabytku i organizować badania naukowe.

Ofiarność społeczeństwa przybrała już kształty realne, a między innymi na fundusz wydawniczy złożyły się poza dochodami własnymi Komitetu zasiłki Zarządu Miejskiego i Towarzystwa Bibliofilów. Umożliwione tym sposobem wydawnictwo dzieła prof. Walickiego ma służyć w dalszym ciągu temu samemu celowi, całkowita bowiem suma osiągnięta ze sprzedaży tej książki przeznaczona będzie na odnowienie wspaniałego portalu kolegiaty.

S. T.



Kolegiata w Tumie — fragment budowli z absydą

Z ŻYCIA ŁODZI

RUCH ODCZYTOWY

Łódź nie ma właściwej sali odczytowej — nie będzie jej też w projektowanym nowoczesnym gmachu Biblioteki Publicznej — czyli ośrodka, który mógłby skupić pewną stałą liczbę prelegentów i wychować sobie konieczny kontyngent słuchaczów. Mimo to ruch odczytowy w naszym mieście, radząc sobie jak się da, rozwija się dość intensywnie.

Pożyteczną ruchliwość przejawiają poloniści, którzy w sezonie obecnym zorganizowali cykl odczytów profesorów uniwersytetów, oświetlających z punktu widzenia najnowszych badań różne epoki literackie. W tak rozumianym zamierzeniu udział brali: doc. dr. Stef. Skwarczyńska, prof. Roman Pollak, prof. Zygm. Łempicki, prof. Konrad Górski.

Cykl wykładów publicznych profesorów wyższych uczelni urządziła również Wolna Wszechnica Łódzka. M. in. o Dygasińskim przemawiał dr. Ż. Szweykowski.

Oddział Łódzki Polskiego Towarzystwa Historycznego z okazji 75-lecia powstania styczniowego odbył uroczyste posiedzenie publiczne, na którym mowę okolicznościową wygłosił prezes oddziału łódzkiego P. T. H., prof. Zygmunt Lorentz, o przebiegu zaś insurekcji w okolicach łódzkich pracę badawczą odczytał Ludwik Waszkiewicz. — Tej samej inicjatywie mamy do zawdzięczenia przyjazd do Łodzi prof. Wład. Konopczyńskiego, redaktora naczelnego Polskiego Słownika Biograficznego, który wygłosił odczyt p. t. Biografia polska, informując jednocześnie wraz z sekretarzem redakcji P. S. B. dr. Kaz. Lepszym, o pracach wymienionego wydawnictwa. Kartotekę Polskiego Słownika Biograficznego wzbogaci jeszcze lokalnymi materiałami Łódzki Komitet P. S. B., którego organizację i kierownictwo redakcja naczelna powierzyła oddziałowi łódzkiemu P. T. H.

Towarzystwo Bibliofilów w Łodzi i Związek Bibliotekarzy Polskich, Koło Łódzkie, postarały się o wykład prof. dr. Jana Muszkowskiego n. t. Nauka o literaturze a nauka o książce.

Wreszcie Polska Y M C A, jakkolwiek wychodząc z założeń popularyzatorskich, daje wiele odczytów dobrej miary i wybitnych prelegentów nie tylko miejscowych, lecz sprowadzanych z ośrodków uniwersyteckich. Przeciętnie raz, dwa razy w tygodniu urządza wykład z zakresu literatury, psychologii, wychowania, nauk ścisłych, krajoznawstwa, spraw społecznych i t. p. Podkreślić trzeba zwłaszcza wypowiedzi Klubu Literackiego wymienionej instytucji, który, gromadząc szereg literatów łódzkich, wyszedł poza ramy zwykłej tylko placówki oświatowej. Zorganizował on wartościowe odczyty i akademie, poświęcone Sienkiewiczowi, Tetmajerowi, Orzeszkowej, Wierzyńskiemu i Leśmianowi, Roztworowskiemu i t. d., jednając sobie uwagę i żywotne miejsce w życiu łódzkiego środowiska literackiego.

ŻYWE SŁOWO

Troska o żywe słowo znajduje mimo trudności swoich entuzjastów i praktyków. Polskie Radio konsekwentnie podnosi dbałość o poezję a również właściwą jej wypowiedź w t. zw. poniedziałkach literackich, przez które przewinęło się już blisko 80 różnych autorów. Podkreślić tu trzeba inwencję i pieczołowitość dr. Jerzego Ronarda Bujańskiego, któremu też zawdzięczamy szczytowe osiągnięcia Rozgłośni Łódzkiej, kwadrans poetycki Apollinaire'a i radiofonizację „Kleopatry" Norwida.

Ale i Zarząd Miejski w Łodzi w osobie wiceprez. Ant. Pączka wykazuje znaczne zrozumienie dla sposobu podania słowa słuchaczom — z terenu swojej działalności. I tak dla członków oświaty pozaszkolnej zorganizował poranek p. t. „Łódź w oczach pisarzy", który dał widowni nie tylko obraz Łodzi odbity w literaturze, ale i silne wrażenia estetyczne. Program obejmował utwory Reymonta, Piłsudskiego, Żeromskiego, Gliszczyńskiego i ze współczesnych M. Brauna, Wł. Pawlaka, M. Piechala, St. Rachalewskiego oraz innych. Wybór tekstów i prelekcja należały do Grzegorza Timofiejewa, recytowali wybitni artyści Teatrów Miejskich. Zwłaszcza efektownie wypadły sceny chóralne i eksperymentalne.

Podobną akcję na szeroką skalę społeczną rozwinęła Polska Y. M. C. A., urządzając 8 poranków żywego słowa i muzyki dla bezrobotnych.

Wreszcie kurs żywego słowa dla nauczycielstwa zainaugurował miejski Inspektorat Szkolny. Wykłady cieszące się dużą frekwencją prowadził J. R. Bujański, który, wpajając w słuchaczów zasady odnajdywania w naszej mowie wartości ekspresyjnych, inspirował zarazem w szkołach i gimnazjach konkursy recytatorskie.

Oto bilans prac dość rzadkich w Łodzi i trudnych — i dlatego właśnie zasługujących na uwagę.

WYDAWNICTWA

Wydane przez miejscowych polonistów „Prace polonistyczne" świadczą chlubnie o dążeniu łódzkiej elity intelektualnej do krystalizacji swoistej idei regionalnej, mówią też pośrednio o tym, że miasto wieloręcznego wysiłku podnosi się z nad warsztatów pracy i stwarza własny wyraz kulturalny. Rola łódzkich polonistów w tej realizacji świeżo narodzonej ambicji jest znaczna. Jako ośrodek organizacyjny „Koło Polonistów" od kilkunastu lat pielęgnuje w różnojęzycznym mieście mas mowę polską i patronuje wysiłkom pedagogicznym oraz naukowym nauczyciela polonisty. Dzięki temu dokonywa się skupienie co wybitniejszych sił, pracujących w najrozmaitszych zakresach, i podejmuje się pracę pod hasłem poznania teraźniejszego oblicza Łodzi i jej dawniejszych tradycyj. Wydane ostatnio „Prace polonistyczne" uważać należy za cenny procent od kapitału wszystkich tych wzmiankowanych wysiłków.

Całość omawianych „prac polonistycznych" rozbita jest na 3 główne części. Pierwsza zawiera rozprawy i materiały naukowe, poszukiwania i próby syntez. M. in. doc. dr. Stefania Skwarczyńska, autorka wielu cennych rozpraw naukowych, docieka stosunku regionalizmu do głównych kierunków teorii literatury; Zygmunt Bajkowski śledzi postać Boruty w literaturze pięknej, dając przez to niejako monografię regionalnego motywu literackiego; Mieczysława Romankówna konfrontuje Łódź Reymonta z rzeczywistym obrazem miasta w tych czasach; Wilhelm Fallek odtwarza chlubny okres prosperowania sceny łódzkiej w latach 1908 -1911 pod dyr. Aleksandra Zelwerowicza; wreszcie Ludwik Stolarzewicz notuje dalsze, w uzupełnieniu do materiałów już wydanych, pozycje do dziejów myśli literacko-kulturalnej w Łodzi.

Następny dział omawianego wydawnictwa zamyka w luźnych artykułach i przyczynkach owoce przemyśleń i doświadczeń łódzkiego nauczyciela-polonisty. M. in. Tadeusz Czapczyński analizuje obraz Łodzi w utworach Reymonta, Bartkiewicza, Żeromskiego i Struga i wyprowadza stąd wniosek na przyszłość; Jan Zygmunt Jakubowski kreśli dygresje o wykładach poezji łódzkiej na lekcjach polskiego; Wanda Lipiec bada wpływy języka niemieckiego w łódzkim żargonie fabrycznym i wyławia powstające stąd zniekształcenia językowe.

Wrócić jeszcze trzeba do artykułu Tadeusza Czapczyńskiego, który w konkluzji analizy obrazów łódzkich Reymonta, Bartkiewicza, Żeromskiego i Struga zauważa trafnie: „Wszystkie te utwory świadczą nadto o zdrowym instynkcie narodu, który wykazał, że droga, którą go chcieli poprowadzić jednostronni przedstawiciele interesu za wszelką cenę, ani wczoraj nie była, ani nie będzie dziś czy jutro właściwą drogą naszego postępu i przemysłowego odrodzenia". I dalej, dotykając negatywnego stosunku do Łodzi, który to negatywny stosunek do dziś w opinii publicznej przeważa, autor omawianej pracy dochodzi do wniosku, że utrwalona w literaturze przedwojennej ocena Łodzi rzuca niekorzystne sugestie i powoduje może, że mimo przerodzenia się Łodzi w okresie Polski niepodległej, mimo tylu wysiłków w zakresie podnoszenia kultury „Łódź wciąż jeszcze uważana jest za coś obcego w stosunku do reszty kraju". Tu potrzebna ważna korekta. Zwłaszcza dzisiejsza młodzież, której przyświecają zarówno romantyzm jak i pozytywizm nie powinna czuć niechęci do wielkiego ośrodka pracy.

Oczywiście, i dobrze się stało, że sprawa ta została wreszcie podjęta.

Omawiane zbiorowe wydawnictwo uzupełniają informacje, dotyczące życia kulturalnego Łodzi w ostatnich latach. W sumie — edycja interesująca, owocna w bodźce myślowe i spostrzeżenia, wielostronna i potrzebna.

W najbliższych dniach ukaże się 6 numer czasopisma „Forma", organu Związku Zawodowego Polskich Artystów Plastyków w Łodzi. Numer zawierać będzie szereg artykułów m. in. P. Modrian — sztuka rzeczywistości i ponadrzeczywistości; St. Wegner — Europejska sztuka i niemieckie kryteria, A. Menkesowa — El Greco, M. Gurewicz — Film. Nadto w treści znajdą się wypowiedzi artystów i kronika życia artystycznego.

MUZEUM IM. J. PIŁSUDSKIEGO W ŁODZI

Już od paru lat nurtowała w Łodzi myśl, by mieszkanie, w którym mieściła się nielegalna drukarnia „Robotnika", odrestaurować i na muzeum zamienić. Rzecz taka byłaby nie tylko świadectwem pobytu i działalności w Łodzi Józefa Piłsudskiego, częściowym uzasadnieniem Jego czynu, ale i uczczeniem Wielkiego Orędownika świata pracy przez stolicę polskiego proletariatu.

Odnajęcie przez miasto historycznego lokalu nie nasuwało większej trudności. Meritum realizacji leży w tym, czy i jakie istnieją materiały pamiątkowe, mogące stanowić podstawę do zorganizowania muzeum im. Józefa Piłsudskiego w Łodzi? Tu się okazało, że legenda przesłania fakty. M. in. stwierdzono, że sprawa łódzkiego mieszkania i jego umeblowania nie jest dotychczas całkowicie wyjaśniona, że duże wątpliwości nasuwa kwestia tożsamości maszynki drukarskiej t. zw. bostonki, na której Józef Piłsudski drukował „Robotnika", i wreszcie, że sam czas trwania pobytu Józefa Piłsudskiego w Łodzi jest okolicznością sporną.

Celem tedy rozproszenia najrozmaitszych wątpliwości Zarząd Miejski w Łodzi powierzył swojego czasu przeprowadzenie odnośnych badań historykowi miejscowych ruchów socjalno-niepodległościowych, Eugeniuszowi Ajnenkielowi.

W wyniku podjętych poszukiwań archiwalnych oraz przeprowadzonych rozmów m. in. z Kazimierzem Rożnowskim, jedynym żyjącym współpracownikiem Józefa Piłsudskiego z okresu



M. Gurewicz
Martwa natura

pracy Jego w Łodzi, dalej z Władysławem Pobóg-Malinowskim i żyjącym jeszcze wtedy Leonem Wasilewskim — Eugeniusz Ajnenkiel zgromadził rzeczowy materiał, który opublikował w wyd. nakł. Zarządu m. Łodzi broszurze p. t. „O mieszkanie Józefa Piłsudskiego w Łodzi i Pamiątki Jego pracy". Broszura ta ukazała się w r. 1936, niemniej ma aktualność nieprzemijającą i ogólnopolską, jak wszystko co dotyczy postaci Wielkiego Zmarłego.

Praca wspomniana ustala: 1) dokładny czas pobytu J. Piłsudskiego w Łodzi, 2) właściwe mieszkanie, rozkład jego oraz umeblowanie, 3) czy posiadana przez Okręgowy Komitet Robotniczy P. P. S. w Łodzi maszynka drukarska „Bostonka" jest tą samą, na której drukowany był „Robotnik". 4) Ilość istniejących dokumentów, dotyczących pobytu J. Piłsudskiego w Łodzi.

Z listów Piłsudskiego z dnia 9 i 19 października 1899 r., — mówi Ajnenkiel — wynika, że był to okres przeprowadzki z Wilna do Łodzi, natomiast list z dnia 28 października pisany już jest z nowego miejsca zamieszkania — z Łodzi. Na tej podstawie trzecią dekadę października 1899 r. należy przyjąć jako czas zamieszkania Piłsudskiego w Łodzi. Aresztowania dokonano w nocy z dn. 21 na 22 lutego 1900 r.

W świetle tego stwierdzenia występuje na jaw niezgodność daty historycznej na tablicy pamiątkowej, mieszczącej się nad wejściem domu przy ul. Piłsudskiego 19. Tablica ta podaje datę 25 lutego 1900 r., jako dzień zaaresztowania Piłsudskiego. Lecz błąd ten został już naprawiony.

Nasuwa się teraz kwestia, w jakim więzieniu, zamknięto redaktora „Robotnika". Ajnenkiel drogą bardzo prawdopodobnych hipotez ustala, że jest to więzienie przy ul. Długiej, ob. Gdańskiej, z którego wywieziono aresztowanego do 5 kwietnia st. st. 1900 r. do cytadeli Warszawskiej. A zatym łączny pobyt Józefa Piłsudskiego w Łodzi wynosił niespełna sześć miesięcy.

Przechodząc z kolei do kwestii mieszkania J. Piłsudskiego w Łodzi, broszura omawiana podaje odbitkę planu, sporządzonego własnoręcznie przez Józefa Piłsudskiego, a załączonego przy liście, pisanym z Cytadeli do towarzyszów, z wiosny 1900 r. Okoliczność ta oraz wspomnienia Redaktora „Robotnika", zamieszczone w „Bibule" — pozwalają przypuszczalnie odtworzyć dawny rozkład i wygląd lokalu. Według oświadczenia p. Kazimierza Rożnowskiego — mówi Ajnenkiel — umeblowanie mieszkania nie nosiło charakteru stylowego, meble były przeciętne, takie, jakich używano wówczas w domach drobnej burżuazji.

Ajnenkiel wiele uwagi poświęca sprawie „Bostonki", maszynki drukarskiej. Otóż, jak wiadomo, dotychczasowa legenda twierdziła, że „Bostonka" znajduje się w Łodzi — w posiadaniu O. K. R. P. P. S. Legendę tę badał Antoni Purtal, jednakże bezskutecznie. Obecnie autor omawianej broszury podjął sprawę na nowo i ustalił bezspornie, że „maszynka będąca w posiadaniu O. K. R. P. P. S. w Łodzi nie jest maszynką, na której Józef Piłsudski drukował „Robotnika".

Rezultaty badań, przeprowadzonych przez Eug. Ajnenkiela, przyczyniają się w dużej mierze do rozstrzygnięcia kwestyj dotąd spornych, a dotyczących pobytu i działalności Józefa Piłsudskiego w Łodzi.

Po teoretycznym zbadaniu tej sprawy Zarząd Miejski przystąpił do jej realizacji. Muzeum im. J. Piłsudskiego w Łodzi nie tylko odtworzy dawny wygląd nielegalnej drukarni „Robotnika", ale i zgromadzi pamiątki po Józefie Piłsudskim, utrwali ślad po Wielkim Zmarłym i Jego dziele.

W TROSCE O ROZWÓJ I KULTURĘ ŁODZI

Łódź przez długi okres czasu nie miała szczęścia do najwyższych czynników oficjalnych, ale obecnie sprawa zmieniła się całkowicie. 9 b. m. zwiedzali gruntownie nasze miasto przedstawiciele rządu dla wszechstronnego poznania zagadnień społecznych, przemysłowych, urbanistycznych i kulturalnych. Ma to niewątpliwie znaczenie zasadnicze i wskazuje na właściwe podejście do skomplikowanego pod względem zagadnień miasta. Oczywiście wycieczka nie miała charakteru przypadkowego i turystycznego, a właśnie nosiła znamiona wizyty oficjalnej. Z tego też powodu słowa, wypowiedziane przez przedstawicieli władzy, uznać należy za ważkie i zobowiązujące. Z prawdziwą satysfakcją notujemy je w naszym piśmie. I tak p. wojewoda Hauke-Nowak przy powitaniu dostojnych gości powiedział:

„Łódź jest miastem typowo przemysłowym, ma swoje cienie i światła. Będą panowie mieli możność poznania miasta z wyglądu, ze strony jego potrzeb, z pracą jego mieszkańców oraz instytucjami przemysłowymi. Jeżeli chodzi o światła, to trudno je w dzień powszedni spostrzec, łatwiej jest poznać to w dni świąteczne i niedzielne. Miasto nasze jest zaniedbane. Najistotniejszą i najpoważniejszą inwestycją Łodzi, zmierzającą do podniesienia poziomu zdrowotnego, to kanalizacja i wodociągi, które będą mieli panowie możność zobaczenia. Z tym zagadnieniem łączy się sprawa uporządkowania naszych dróg. Dotychczasowe rezultaty wobec ogromu potrzeb są małe. Pragnieniem naszym jest, by panowie zechcieli ocenić warunki miasta wojewódzkiego w naszym okręgu przemysłowym i łaskawie ustosunkować się do dalszych naszych poczynań.

O te względy i o tę przychylność i właściwą ocenę bardzo panów prosimy".

Następnie przemawiał p. prezydent Godlewski, fragmenty jego przemówienia brzmią jak następuje:

„Produkcja przedwojenna Łodzi wzmagała się z roku na rok, osiągając w roku 1911 wartość 1 miliarda złotych. Ale rozwój materialny miasta nigdy nie szedł w parze z jego rozwojem kulturalnym. Przyczyny tego są już dostatecznie znane. Za to właśnie moi poprzednicy burmistrze i prezydenci otrzymywali ordery carskie i rangi generalskie, a pieniądze z Łodzi płynęły do Petersburga i szły na roboty inwestycyjne w głębi Rosji.

Momentem zwrotnym w dziejach miasta była wojna, za którą Łódź zapłaciła znacznie więcej, niż którekolwiek z miast w Polsce. A jeżeli zdołała uniknąć losu Kalisza, to zawdzięczają bawełnie. Gdy Niemcy wreszcie opanowali miasto, rozpoczęło się systematyczne niszczenie przemysłu łódzkiego. Rozpoczęto oczywiście od surowców, a następnie zabrano wszystkie towary, motory, a nawet demontowano cenne maszyny, zabierając części mosiężne i inne metale. W tym okresie zasługuje na szczególną uwagę solidarna powszechna walka łodzian z najeźdźcą.

Uwieńczeniem tej walki jest 11 listopad 1918 r. — rozbrojenie okupantów. Z tym momentem Łódź zabiera się do odbudowy przemysłu. W maju 1919 r. dymią już pierwsze kominy, a w r. 1921 otoczył już Łódź dumny pióropusz dymów z przygasłych na szereg lat kominów. Łódź ożyła, zatrudniając już w owym czasie 82.000 robotników i pracowników".

— Mamy jeszcze jeden wielki majątek. Jest nim społeczeństwo łódzkie. Łódź jest miastem wyjątkowym w Polsce. Zdała ona egzamin niejednokrotnie: w r. 1905, 1914, w czasie wojny i po wojnie zdaje go stale. Jest miastem wytężonej pracy. Dla charakterystyki zaznaczę jedynie, że Łódź płaci podatek obrotowy od sumy 3 miliardów zł. rocznie. Jest to wpływ bardzo poważny dla skarbu państwa. Pracą łodzian powstał ten wielki obiekt i ta praca, ten nasz wielki majątek — nie zawiedzie nas nigdy.—".

W odpowiedzi na słowa p. wojewody Hauke-Nowaka i p. prezydenta Godlewskiego głos zabrał p. minister Korsak.

„Dano nam sposobność doznania tylu wrażeń miłych, poczynienia tylu pożytecznych obserwacyj. Tu w Łodzi uzewnętrzniają się wszystkie krańcowości tego miasta, które jest konglomeratem przedmieść wokoło nieskrystalizowanego centrum. Ze wszystkich uliczek wyziera szara rzeczywistość, wyziera historia Łodzi, która z 2 tysięcznej osady stała się 600 tysięczną naroślą na organizmie wsi polskiej. Rzeczywistość ta przemawia do nas najsilniej. To miasto pracy powinno być nie tylko miastem biedy i wielkiej nędzy, ale i miastem siły. Tu wyzwala się to, co w Polsce jest największe. Bogactwem Polski jest nasza praca. Łódź jest symbolem przyszłej naszej wielkości.

Zwracam się do Was, kierownicy Łodzi, niechaj nie opanuje Was depresja i zniechęcenie. Nie często możemy przyjeżdżać do Was, ale zaliczamy Łódź do rzędu najdroższych miast. Tu realizuje się Polska, która będzie".

Te ważkie słowa mają znaczenie ponadczasowe, notujemy je też z radością w piśmie społeczno-literackim, ponieważ pozwalają spodziewać się w przyszłości poparcia dla poczynań kulturalnych. Wszechstronne zbadanie Łodzi wykazuje właśnie niewątpliwie brak życia duchowego o głębszym nurcie. Wykazanie zrozumienia dla tych spraw w wypowiedziach przedstawicieli rządu i samorządu napełnia nas zupełnie słusznym optymizmem, zaczyna się widocznie nowa era w rozwoju naszego miasta.

TOWARZYSTWO ART.-LIT. W ŁODZI

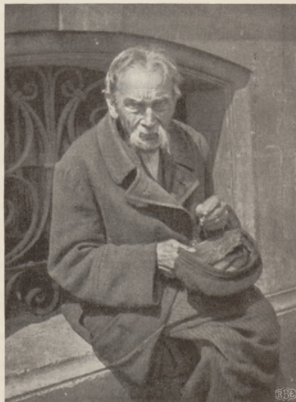
Celem ożywienia życia kulturalnego i artystyczno-literackiego w naszym mieście zawiązało się Towarzystwo Artystyczno-Literackie w Łodzi, do którego należą literaci oraz artyści plastycy. Towarzystwo wypracowało już program działalności, który znajdą czytelnicy w formie streszczonej w umieszczonych w tym numerze „Myślach przewodnich". Siedziba Towarzystwa: Sienkiewicza 3/5 m. 12 tel. 158-08. Godziny przyjęć we wtorki od 19 do 21.

WYSTAWA FOTOGRAFII ARTYSTYCZNEJ

W gmachu Polskiej Y. M. C. A. otwarto bardzo ciekawą wystawę prac fotograficznych p. Liselotte Klause. Prawdziwego miłośnika fotografii artystycznej powinna ona bezwzględnie zainteresować. Gromadzi bowiem prace z okresu 5 lat i w sposób niezwykle wyraźny pokazuje nam sumienne studia fotograficzne i nieprzeciętne umiejętności wystawczyni. P. Liselotte Klause studiowała systematycznie dwa lata we Wiedniu, gdzie Grafische Lehr- und Versuchsanstalt wprowadziła ją w celowe ujęcie zharmonizowanego portretu i pejzażu. Przetłoki bromowe i węglodruki z tego okresu ukazują przed nami estetyczne ujęcie fotografii dla samego piękna.

Następnie dwa semestry w Weimarze pod wpływem osobowości artystycznej prof. Waltera Hege pogłębiły znacznie u p. Klause ujęcie fotografii, a jednocześnie rozszerzyły możliwości przez przejście na technikę Leica. Ówczesna Handwerksschule przyłączona do Kunsthochschule pod dyrekcją prof. Schultze-Naumburga hołdowała ruchliwości i pracy poza domem, ucząc we wszystkich dziedzinach fotografii umiejętności indywidualnego podchodzenia do tematu w warunkach nawet przypadkowych, co przede wszystkim umożliwia Leica. Z przedstawionych na wystawie prac najlepsze bodaj są portrety i to szczególnie dziecięce, a najciekawsze wnętrza i fotografie z dziedziny architektury. Cieszyć się więc należy, że na terenie naszego miasta pojawił się tej miary talent fotograficzny, co p. Liselotte Klause.

Podkreślamy z satysfakcją, że p. Liselotte Klause objęła w naszym piśmie dział ilustracyjny. Podniesie to niewątpliwie poziom szaty artystycznej „Wymiarów", a jednocześnie pozwoli zapoznać się czytelnikom z fotografią artystyczną na poziomie europejskim.



Jedna z prac L. Klause

PRZEGLĄD PRASY

W n-rze 13 (732) „Wiadomości Literackich" Ferdynand Zweig zamieścił interesujący artykuł p. t. „Rewolucja ludnościowa i jej aspekty". Autor konstatuje, że „świat współczesny jest objęty rewolucją o wielokrotnym znaczeniu". Przeżywamy więc: rewolucję „techniczną" („która stwarza bolesne formy przystosowania gospodarczego i militarnego"); rewolucję „polityczną" („która doprowadziła w bardzo wielu państwach do gwałtownych zmian ustrojowo-wewnętrznych"); rewolucję „społeczno-gospodarczą" („która na porządku dziennym stawia problemy przeobrażeń społeczno-gospodarczych"); rewolucję „obyczajowo-kulturalną" („która wyraża się w nowych formach obyczajowych i kulturalnych"); i wreszcie rewolucję „ludnościową". „Polega ona na rozpowszechnianiu się zasady świadomej regulacji urodzeń, która dziesiątkuje przyrost naturalny ludności w głównych krajach cywilizacji dziś panującej. Gwałtowny spadek przyrostu naturalnego, hamowany tylko przez równoczesne obniżenie się stopy śmiertelności, czyni coraz większe postępy i wdziera się jako fakt o gospodarczym znaczeniu do wszystkich dziedzin życia ludzkiego".

•

W n-rze 41 „Sygnałów" Jerzy Putrament w art. „Zaraza Poetyckości" zabiera głos w sprawie Stanisława Piętaka, którego debiut powieściowy i nagroda P. A. L.-u wywołały głośną dyskusję w prasie. Wydają nam się trafne słowa Putramenta, gdy mówi, że „książka Piętaka jest symptomem zjawisk ogólniejszych. Cechy „Młodości Jasia Kunefała", które należą do indywidualnych właściwości Piętaka (monotonia nastroju i stylu, lubowanie się w histerycznych i ckliwych opisach psychologicznych i t. d.), chociaż czasem są denerwujące, to jednak na ogół mogą ujść. Gorzej z tym, co jest właściwe wielu dzisiejszym młodym pisarzom z pogranicza poezji i prozy. Wychowani w specyficznych pojęciach wartości poetyckich, przechodząc do prozy przenoszą oni ze sobą wszystkie nawyki mowy wiązanej, spotęgowane odmiennymi właściwościami rodzajowymi prozy do rozmiarów groźnych ułomności".

•

Ostatni zeszyt, drugi kolejny tego roku, „Niepodległości" — czasopisma poświęconego najnowszym dziejom Polski założonego przez Leona Wasilewskiego a wychodzącego pod redakcją Tadeusza Szpotańskiego — przynosi nam jak zwykle ciekawe materiały z walk o niepodległość. Rozpoczynają go dwa artykuły: Dr. Żanny Korman, o „Tygodniku Powszechnym", ciekawym piśmie, wychodzącym w Warszawie w końcu wieku ubiegłego, oraz Eugeniusza Ajnenkiela, opracowany na tle zajść w życiu robotniczym w Łodzi w roku 1893 pod tyt. „Bomba w pałacu Kunitzera". Do dziejów organizacji bojowej P. P. S. ciekawe przyczynki stanowią wspomnienia Kazimierza Pilata, do czasów zaś Strzelca i Legionów wspomnienia J. Śmigielskiego i kartki z pamiętnika Ignacego Boernera. Poważną pozycją jest dalszy ciąg publikowanych listów Józefa Piłsudskiego. Numer zamykają Miscelanea i sprawozdania z książek

•

6 numer „Kameny" zwraca znów uwagę na silną żywotność tego pisma. Wydawane ogromnym wysiłkiem osobistym Jaworskiego i Waśniewskiego coraz lepiej świadczy o aspiracjach t. zw. prowincji. Piszemy tak zwanej, ponieważ w konwencjonalnym rozumieniu tego słowa leży zaprzeczenie wyższej kultury umysłowej i artystycznej, czego nie można powiedzieć o środowisku wydającym „Kamenę". Z artykułów zwraca uwagę ciekawe podejście Tadeusza Sarneckiego do „Miliardów" Struga. Autor dopatruje się w ostatniej powieści tego pisarza obiektywizacji zjawisk społeczno-politycznych, które pozwalają bezanamiętnie przemyśleć problem przebudowy społecznej świata. Dokonał tego Strug przez opisywanie środowiska milionerów i miliarderów amerykańskich oraz przez odkrycie ich myśli i niepokojów. Wiersze i proza reprezentują poziom wysoki, noty redakcyjne ciekawe są jak zawsze.

•

Martwe dotychczas życie kulturalne naszego miasta ożywiło się nagle w sposób niespodziewany. Z wyjściem naszego pisma Łódź posiadać będzie już dwa periodyki literacko-artystyczne. Jeśli utrzymają się przy życiu, świadczyć to będzie o gruntownej zmianie w nastawieniu psychicznym łodzian. Być może, ze i kultura będzie w Łodzi tak samo produktem niezbędnym jak i bawełna. Ostatnie zjawiska napełniają nas w tym względzie optymizmem. Niemniej na tym miejscu podnieść trzeba kilka uwag krytycznych, pod adresem „Kultury Łodzi". Wydaje się, że tytuł ten jest za mało skromny, a za bardzo tchnie nieusprawiedliwioną megalomanią, ze wszystkich bowiem ośrodków kulturalnych w Polsce najmniejsze niewątpliwie znaczenie posiada Łódź i jakby na ironię tutaj właśnie wymyślono najbardziej hałaśliwy szyld bez pokrycia w rzeczywistości. Szkoda.

Tak samo nie wydają się dość obiektywne, jak na poważne pismo, niektóre artykuły. Na przykład Marian Piechal w „Środowiskach literackich" wyolbrzymia nadmiernie rolę Łódzkiego Klubu Literackiego, a wielu łodzian po raz pierwszy dowiedziało się z jego artykułu o istnieniu tej organizacji, ponieważ żadnej nie przejawia działalności i nie okupiła swego powołania żadną chyba imprezą kulturalną. Ruchliwy natomiast klub literacki Polskiej. Y. M. C. A. został w tym artykule przemilczany z powodów bliżej nieznanych. Przeoczenie takie nie powinno mieć jednak miejsca, ponieważ wspomniany klub nie tylko obsługuje instytucję macierzystą, ale i dla miasta zorganizował kilka wartościowych imprez, i kilka odczytów o nowościach literackich oraz na temat ciekawszych zagadnień artystycznych. Niewątpliwie klub ten stanowi pewne środowisko literackie i nawet bez względu na swój, zresztą dość duży zasięg, powinien znaleźć się w zakresie rozważań Piechala, chociażby z powodu nazwy samego artykułu.

Również w przeglądzie syntetycznym życia literackiego na terenie Łodzi dr. Stolarzewicz pominął fakt wychodzenia w roku 1936 „Budowy" pod redakcją Kazimierza Sowińskiego. 3 numery tego pisma znowu bez względu na jego wartość, powinny być zanotowane jako pewne usiłowania literackie. Poza tym lista literatów łódzkich nie jest kompletna wprawdzie autor mógł kierować się tutaj pewnym wyborem, ale skoro umieścił nazwiska całkiem prawie nieznane, to i konsekwentnie powinny być wymienione usiłowania literackie bardziej wiadome, chociażby z krytycznym nawet komentarzem.

Te drobne może uchybienia w niezdrowej atmosferze kulturalnej naszego miasta w obliczu pewnych konfliktów osobistych urastają do miary działalności świadomej. Byłoby zaś źle, gdyby takie sprawy zachwiały bytem któregokolwiek pisma, stąd właśnie płyną uwagi krytyczne. Życzyć więc należy „Kulturze Łodzi" szczęśliwego unikania potknięć i nieco żywszej formy literackiej, pierwszy bowiem numer wypadł blado i nudnie;

P. S. W rejestracji pism pominięto również „Formę" organ Związku Zawodowego Polskich Artystów Plastyków w Łodzi.

NA WARSZTACIE PISARZY ŁÓDZKICH

Pod tym tytułem pismo nasze będzie notowało prace i zamierzania ludzi pióra w Łodzi.

W pierwszym numerze podajemy kilka informacyj.

Eugeniusz Ajnenkiel pracuje ostatnio nad kilkoma tematami. Oddał już do druku życiorys sen. St. Kopcińskiego, praca ta wykonana została dla zarządu Miejskiego. Poza tym ostateczną redakcję otrzymała już książka z walk o niepodległość w latach 1907—8 p. t.: „U stóp łódzkiej szubienicy". Chodzi w tej pracy o teren łódzki, a mianowicie o więzienie na ulicy Gdańskiej i ofiary tu stracone. Nie wyczerpuje to jeszcze ostatnich zajęć pisarskich. E. Ajnenkiel zbiera z całej Polski materiały do pracy o pieśni i poezji robotniczej, będzie to jedyna księga kompletująca niemal wszystkie materiały na ten temat z lat 1868—1914. Wreszcie autor opracowuje dzieje roku 1905 w Łodzi.

Mieczysław Braun w roku bieżącym wydał tom „Sonetów" i wybór wierszy p. n. „Poezja pracy". Obecnie przygotowuje do druku tom wierszy z ostatniego czasu.

Jerzy Ronard Bujański, poeta i teatrolog, opracowuje celem oddania do druku dwa tematy. Pierwszy „Stanisław Wyspiański — człowiek teatru". Drugi ma charakter studium o montażu placówek teatralnych dla młodzieży.

Czesław Garda wydaje w najbliższym czasie tom nowel pod ciekawym tytułem „Konfrontacje". Jedną z nowel drukujemy w naszym piśmie.

Mieczysław Jastrun wydał w Warszawie zbiór wierszy: „Strumień i milczenie", który jest już trzecim zbiorem poety. Obecnie pracuje intensywnie nad przekładami z poezji niemieckiej, a mianowicie Rilkego i Hölderlina, oraz wykańcza szereg utworów oryginalnych.

Rafał Len drukuje obecnie w Warszawie powieść p. t. „Ludzie na schodach", która ukaże się w sprzedaży już w najbliższych dniach.

Władysław Pawlak projektuje druk nowej powieści pod tytułem: „Na tej samej ziemi". Rzecz ta obejmuje swoimi zainteresowaniami życie chałupników. Autor zna je doskonale z przeżyć osobistych.

Stanisław Rachalewski po opublikowaniu wspomnień, dotyczących terenu Łodzi i województwa łódzkiego w roku 1920 p. t. „Szabla na kilimie", gromadzi i opracowuje materiały, które złożą się następnie na zbeletryzowany temat o chałupniczych Brzezinach koło Łodzi.

Tadeusz Sarnecki przygotowuje do druku powieść z życia Łodzi p. tyt. „Dymy nad Łodzią".

Z poezji do druku przygotowany jest krótki poemat p. t. „Katastrofa", a z prac naukowych dwie rozprawy z dziedziny poetyki. Pierwsza nosi tytuł: „Cele i zadania teorii literatury", a druga „Analiza literacka".

Kazimierz Sowiński ogłosił dotychczas jeden tylko tom wierszy p. t. „Gwiazdy na strychu", ale od chwili wydania tych poezji drukował wiele ciekawych i dojrzałych utworów w wielu pismach literackich. Obecnie zamierza zebrać je w specjalnym tomiku. Ukaże się on prawdopodobnie jeszcze przed wakacjami albo w czasie lata.

Grzegorz Timofiejew przygotowuje do druku tomik poezji lirycznych p. t. „Najbliższe". W obecnej zaś chwili oddał już do publikacji rozległą rozprawę krytyczną o Żeromskim i literaturze rosyjskiej. Jest ona owocem kilku lat pracy.

PODZIĘKOWANIE

Wszystkim przyjaciołom pisma, którzy przez poparcie moralne i materialne przyczynili się do wydania 1-go numeru, składamy najserdeczniejsze podziękowania.

TREŚĆ PIERWSZEGO NUMERU „WYMIARÓW"

W tekście pomieszczone są prace Związku Zawodowego Polskich Artystów Plastyków w Łodzi — oraz fotografie o charakterze ilustracyjnym.

Układ graficzny numeru Władysława Strzemińskiego.

●

„Wymiary" ukazują się 10 razy do roku.

Cena numeru pojedyńczego zł 1.—

Prenumerata kwartalna zł 2.50; roczna zł 9.—

NASZ KONKURS

Celem szerszego spopularyzowania tematyki łódzkiej w naszej literaturze, a również wydobycia na jaw nieznanych jeszcze talentów młodych — Towarzystwo Artystyczno-Literackie w Łodzi przygotowuje konkurs na wiersz i nowelę o Łodzi.

Konkurs ten będzie dostępny dla wszystkich i trwać będzie do końca grudnia b. r. Najlepsze utwory zostaną nagrodzone i ogłoszone drukiem. Regulamin konkursu, wysokość nagród oraz sposób nadsyłania prac będą podane do wiadomości w numerze następnym „Wymiarów".

REDAKTOR: *Tadeusz Sarnecki*

WYDAWCA: *w imieniu Towarzystwa Artystyczno-Literackiego w Łodzi — Tadeusz Sarnecki*

ADRES REDAKCJI i ADMINISTRACJI: *Łódź, Sienkiewicza 3/5 m. 12 Tel. 158-08*

DYŻURY REDAKCJI i ADMINISTRACJI: *we wtorki każdego tygodnia od godziny 19 do 21*

Odbito w „Drukarni Polskiej" L. Mazurkiewicza i S-ki, Sp. z ogr. odp. w Łodzi, Kilińskiego 95, tel. 214-64